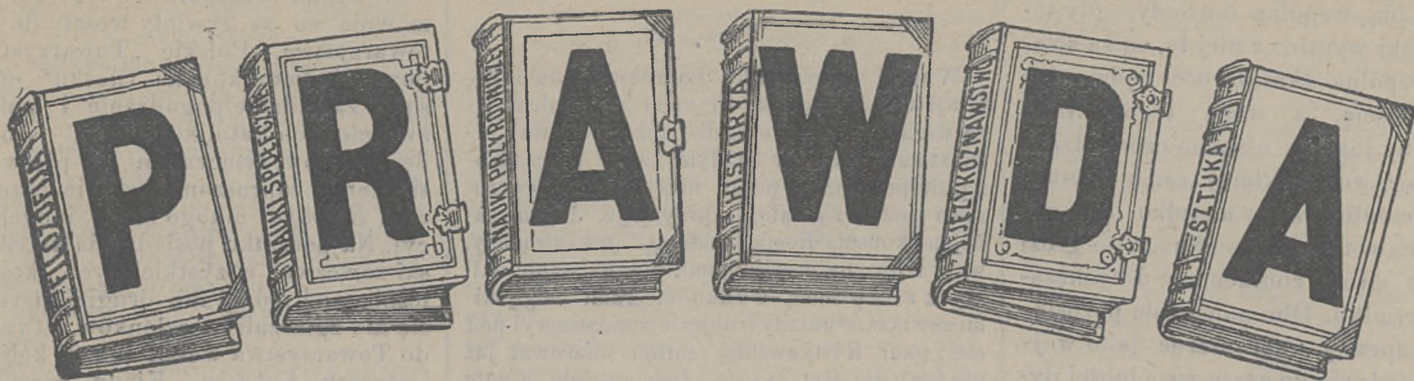
Nr. 35 (1183). Warszawa, dnia 16 (29) Sierpnia 1903 r. **Rok XXIII.**



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

TREŚĆ:



Narady w Peszcie.

Od dnia 19 b. m. cesarz austryacki w swoim charakterze króla węgierskiego bawi w drugiej stolicy monarchii. Przyjechał na sam dzień św. Szczepana, miał uroczyście, jak dawni królowie, uczestniczyć w wielkim obchodzie narodowym, aby uczestnictwem tem zjednać względność przynajmniej, jeśli nie życzliwość podczas ciężkich robót, którego po tym historycznym pochodzie z mieczem i krzyżem czekały. Zapowiedzi gazeciarskich nie potwierdził telegraf: wielkiej uroczystości z królem nie było, nie mogło też być i spodziewanego, a wielce skromnego, wpływu. Konieczność odrazu popędziła Fr. Józefa drogą kamienistą: wysłuchiwania rad, które prawie bez wyjątku zbiegły się w jednę: ustąpić i zadowolić narodowe życzenia Węgrów. O ile z dzienników wiedeńskich poznać można, przez trzy pierwsze dni, od 21 do 23 przez gabinet królewski w Budzie przesunęło się jedenastu mężów stanu i polityków węgierskich, głębiej lub płyciej w panującem stronnictwie liberalnem tkwiących. Powołanie przedewszystkiem Csaky'ego i Apponyi'ego, obu prezesów Izb, stanowiących sejm, było spłaceniem długu konstytucyonalizmowi parlamentarnemu; Apponyi przyszedł z memoryałem w zanadrzu i, co więcej, nawet z kandydaturą własną na ministra. Najszczerszemi i najdłuższemi miała być rozmowy z Wekerlem i Andrassym. Powołani też byli Szapary, Banffy i Hieronymi, dawni ministrowie; otrzymał wezwanie i obecny jeszcze, ale już drążkowy, Lukacs. Główny przedmiot narad wiąże się ściśle z innym: z utworzeniem nowego gabinetu. Kto stanie na czele? zależy od tego: z czem?

Pomimo tajemnicy, stanowiącej zwyczajowy obowiązek wszelkich tego rodzaju układów, z narad w zamku budzińskim prześwituje już z jednej strony dążność polityków węgierskich do popierania żądań obstrukcyonistów, krzyczących o unarodowienie węgierskiej części armii wspólnej, z drugiej — niechęć króla węgierskiego do zaspokojenia tych żądań. Rady polityków nie wytryskują z ich głów jako ich żądze—myśli indywidualne; niechęć króla nie wynika też z jego czysto w danym wypadku indywidualnego nałogu — trzymania w garści tego, co się w tej garści już raz znalazło. Za radami stoi nietylko obstrukcyonizm, nacyonalizm radykalny, czy radykalizm narodowy: stoi w większości swej już dzisiaj, — naród; za niechęcią indywidualną postępuje rytmicznym ruchem rozsądek, rozbudzony przez instynkt zachowawczy, nie samego tylko posiadacza i wykonawcy praw dynastycznych nad obu połowami monarchii, ale i przedstawiciela i stróża praw zarówno jednej, jak drugiej. Im silniej zarysowuje się ten plan dalszy, to oparcie, jakie dla siebie znajdują logika i psychika jednej i drugiej strony, tem głębsza też jest przepaść, która je rozdziela, tem groźniejsze niebezpieczeństwo — tymczasowości, mogącej tylko wzmocnić natarczywość, i ważniejsze od niego—niebezpieczeństwo zamętu w razie gdyby żaden rozum, żaden talent nie umiał lub nie chciał przez przepaść rzucić zbawczego mostu.

Zupełnym błędem jest uważanie sprawy unarodowienia żołnierza-Węgra, stojącego na ziemi węgierskiej, wyłącznie tylko za sprawę wewnętrzną węgierską, za jakiś proces, toczący się pomiędzy władzą wykonawczą wojskową a królem, władzą prawodawczą narodu i — opinii publicznej. Gdyby nawet Franciszek Józef, jako król węgierski, chciał pojść razem z obstrukcyonistami, mającymi za sobą dziś już większość narodu, nie miałby prawa tego uczynić, jako cesarz austryacki, panujący w przedlitawskiej połowie monarchii, bez odwołania się do niej. Nic to nie znaczy, że dotychczas nietylko organ prawny prawowity, któryby, działając za tę połowę, mógł „tak" lub „nie" powiedzieć, nawet w najulotniejszych nie występuje marzeniach, ale, co gorsza, opinia publiczna — jej ster i przeważne źródło—dziennikarstwo Przedlitawii wcale sobie nie zadaje pytania: co będzie, gdy Węgrzy pokojem lub bojem rozłupią armię wielkiego mocarstwa na dwie połowy i jednę dla siebie zabiorą — co będzie? Dziennikarstwo z tej strony Litawy, zbywając milczeniem pytanie, w którem przecież kształtuje się w wątpliwość samo życie państwowe Austryi, daje dowód swojej płytkości, a działający w Przedlitawii politycy, przedstawiciele narodu, chyba tylko w potrzebie wypoczynku letniego znaleźć mogą usprawiedliwienie swego umysłowego ospalstwa. Jeżeli konstytucya z d. 21 grudnia 1867 r. nie ma być darem, podarunkiem danym dziecku do zabawki, ale poważnym węzłem, silnym łańcuchem skuwającym wszystkie trzy podmioty praw: państwo węgierskie, państwo austryackie i wspólnego króla w jednę całość do dziejowego życia powołaną, to Przedlitawia ma tu za sobą prawo rosnące nietylko w instynkcie zachowawczym, ale i w samej konstytucyi.

Oderwanie się wojskowe Węgier będzie i zerwaniem umowy milcząco przez samo obustronne a równobieżne korzystanie

z instytucyj przez systemat dualistyczny zapewnionych. Na armię wspólną wyłącznie prawie idą wspólne dochody; gdy topór węgierski wyrąbie z niej to, co za swoje uzna, wspólna skarbowość będzie już niedorzecznością, a wagę tego kroku zwiększyłaby jeszcze ekonomiczna udzielność Węgier, wobec której samo dziennikarstwo przedlitawskie nietylko lęku nie czuje, ale nawet z dobrym humorem grozi ze swej już strony zburzeniem dotychczasowego porządku. Obu państwom pozostałyby tylko sprawy zagraniczne jako wojskowe, ale jedynie do czasu wspólności dynastycznej; bo dlaczegóż nie przewidywać tej chwili, w której rwący potok porwie i tron obecny, i obecną dynastyę? Owszem, może nastać moment, w którym rozwiedziony z Austryą węgierski rozum stanu zechce mieć innych przyjaciół i innych nieprzyjaciół międzynarodowych, niż Przedlitawia: a wtedy cała węgierska część armii obecnej, po unarodowieniu się swojem i oddzieleniu od przedlitawskiej — będzie dla mocarstwa austryacko - węgierskiego straconą, może się nawet przeciwko niemu obrócić. Wprawdzie Węgry same dużo postawiłyby na swojej wielkomocarstwowej roli, musiałyby bowiem w krótkim czasie bronić nawet już swego bytu politycznego; ta okoliczność jednak nie zdoła ani na chwilę zakłócić pochodu myśli rozwijających się z przewidywania nieuchronnych skutków błędu, jakiby popełniono przez przyjęcie programatu obstrukcyonistów, patryotów może dobrych, ale polityków lichych. Rozszczepienie się armii musi doprowadzić do rozszczepienia się obu państw: może rozumniejsi od obstrukcyonistów, od Kossuthów i Barabaszów, spojrzą na tę konieczność jako otchłań i zawrócą opinię i naród z niebezpiecznej drogi. Wtedy dopiero ustępstwa częściowe, jak oficerowie, jak komenda w pewnym zakresie okażą się też jedynemi, na jakie pozwala rachunek; większe będzie mogła dać Węgrom tylko rewolucya. Czy jej chcą? Czy do niej już dziś dążą?

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

W myśl telegramu hr. Lamsdorffa do p. Zinowjewa rząd turecki otrzymał notę, niemającą wszakże charakteru, dla którego nazwa „ultimatum“ byłaby w każdym razie przesadzoną. Sułtan jeszcze przed urzędowem doręczeniem spełnił żądanie, tj. przyjął je. Halim, zabójca konsula Rostkowskiego, już stracony, wraz z dwoma wspólnikami; poszukiwanie dalszych zarządzone; z kilku oficerami belgijskimi zawiązano układy o objęcie żandarmeryi pod ster; pani Rostkowskiej sułtan ofiarował już nie 250, ale 400 tys. fr. Jednocześnie z notą wypłynęła eskadra z Sewastopola i stanęła w pobliżu Bosforu, po stronie azyatyckiej, w miejscowości Inadje. Zapowiadano zjawienie się angielskiej i innych eskadr, ale dotychczas jest tylko rosyjska na widowni.

P. Gołuchowski musiał wejść na nowe drogi; po odwiedzinach króla Karola w Ischlu układał się w Wiedniu z ministrem Sturdżą — najprawdopodobniej o konwencyę wojskową. Położenie nabiera powagi. Turcya ma w Europie zebranych 167,000 piechoty, około 4,000 jazdy i 400 przeszło dział.

Zmarł lord Salisbury, d. 22 b. m. w Hatfield.

Przesilenie austryacko-węgierskie nieprędko się skończy.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z nad Warty i Odry.

Intryga katolikowców. — Odezwa ks. Skowrońskiego. — Stanowisko *Głosu Śląskiego*. — Odosobnienie *Górnoślązaka*. — Ze statystyki urzędowej. — *Czarna Księga*. — Projekty ratowania ziemi. — Kłopoty kolonizatorów.

Pisałem już w poprzedniej korespondencyi o utworzeniu się nowego towarzystwa politycznego na Górnym Śląsku pod egidą księdza Skowrońskiego a dla wzmocnienia stanowiska *Katolika*, poważnie zagrożonego wskutek ostatniej walki wyborczej. Obecnie możemy już przyjrzeć się bliżej temu towarzystwu i ocenić rolę, jaką może odegrać w rozwoju politycznym Górnego Śląska.

Oto kilka szczegółów, świadczących wymownie co za żywioły weszły do nowego towarzystwa. Polskie „Towarzystwo ludowe dla katolików na Śląsku“ postawiło sobie za zadanie pogodzenie i połączenie zwaśnionych katolikowców i narodowych demokratów, tymczasem na pierwsze posiedzenie zaproszono jedynie przedstawicieli *Katolika*, nikogo zaś z innych redakcyj. Na początku posiedzenia ks. Skowroński zawezwał wszystkich tych, którzy zależni są od jednej lub drugiej partyi, aby się nie zgłaszali na członków. Tymczasem do Towarzystwa weszli nawet kolporterzy i zecerzy *Katolika*. Kiedy rozwinęła się dyskusya, czyby nie zaczekać przez rok jeden, a potem założyć towarzystwo, kolporterzy *Katolika* oświadczyli, że musi ono być założone natychmiast, gdyż oni — kolporterzy—są narażeni na różne nieprzyjemności ze strony zwolenników *Górnoślązaka*. Dowodzono konieczności założenia Towarzystwa między innemi tak: „Ta przeciwna partya (tj. narodowi demokraci) bije na nas bardzo, a naszym obowiązkiem jest nie zapominać o tem, że my Ślązacy jesteśmy wierni poddani duchowieństwa i najjaśniejszego pana. Dlatego musimy założyć natychmiast towarzystwo, któreby tej przeciwnej partyi przeciwdziałało.“

Kiedy zastanawiano się nad tekstem odezwy nowego towarzystwa, ktoś zaproponował, aby zamiast „posłów z krwi i kości ludu,“ napisano wyraźnie „posłów Polaków.“ Lecz przeciw temu zaprotestował ks. Skowroński, uznając za zupełnie zbyteczne, gdyż i tak „to się samo przez się rozumie.“ Na pytanie jak sobie Towarzystwo postąpi z księżmi, którzy odmawiają rozgrzeszenia za czytanie *Górnoślązaka* i *Głosu Śląskiego*, ks. Skowroński odpowiedział, że to jest sprawa kościelna, religijna, której rozstrzygnięcie zależy od władzy biskupiej. Na bankiecie jeden z organizatorów Towarzystwa przemówił w te słowa: „Słyszałem rozmaite zdrowia, o jednem zapomniano! Żyjemy na Śląsku, jesteśmy Ślązakami i jako tacy jesteśmy poddanymi króla pruskiego, który nas obdarza tylu łaskami. Ja wznoszę toast na cześć jego: Niech żyje najjaśnieszy pan Wilhelm II! Niech żyje! Niech żyje!“

Z tego wszystkiego widać dobrze, jaki duch będzie panował w nowem Towarzystwie. Odezwa nowego Towarzystwa jest również wymowna. Powiada ona: „W społeczeństwie tak katolickiem, jak nasze górnośląskie i wobec niebezpieczeństwa, gro-

---

A. Cereteli.

MISTRZ.

Baśń z życia abchazkiego i kabardyńskiego.

I.

Szczyty wyniosłego gór pasma giną w chmurach, zdają się być niedostępne dla człowieka, a przecież na wierzchołku jednej z nich widnieje przedmiot jakiś, niby gniazdo jaskółki przylepione do skały. To szałas, służący za przedsionek obszernej pieczary. Ta pieczara — to warowny zamek wolnego syna gór, który latem chroni go od palących promieni słońca, darzy miłym chłodem uznojone upałem czoło, a zimą przytula i zakrywa od śnieżnej zamieci. Gdy niebo całe rozsroży się niepogodą, grożąc równinom zatopieniem, — on owija się cały w chmury i odważnie podstawia swą głowę pod wszystko burzący żywioł, nie obawiając się ani ogłuszających grzmotów, ani oślepiających błyskawic, ani wichru, deszczu i zamieci. Lecz gdy promienne słońce rozpłomieni wschód, gdy, przepłynąwszy swoją codzienną drogę, pogrąży się w morzu lub gdy blady miesiąc zajmie miejsce jasności dziennej i bladem światłem posrebrzy rzeki, jeziora, morze, lodowce i śnieżne szczyty, wówczas zamek przeistacza się w cudną, zaczarowaną wysepkę, tonącą w lazurze niebios.

Z równiny prowadzi doń kręta ścieżynka, po której może wejść pieszy podróżny, jeśli wzrok jego sięga daleko, jak wzrok orła, jeśli posiada pewien chód i silne płuca, jeśli nakoniec jest zręczny i odważny. Może się tu dostać i dzielny jeździec, zdając się na wolę doświadczonego górskiego bieguna, skaczącego jak dzika koza ze skały na skałę.

Do kogóż należy ten podobłoczny zamek? Kto zamieszkuje tę zaczarowaną wyspę? Panem jej jest młody Abchaz, syn tej górskiej przyrody, który przenosi swobodę i niezależność pustelnika nad wszelkie dobro na ziemi. Celnie strzelająca dubeltówka, ostra szabla, nieprzemakalna burka i górski rumak — oto cały majątek Abchaza. I dobrze mu tu było. Lecz do jego gwałtownego, a dotąd swobodnego serca zakradła się miłość i pozbawiła je spokoju. Ta, która rzuciła w nie zarzewie sama również popadła w słodką niewolę, sama rozgorzała namiętnością. Imię jej — Nazi - Brała z pochodzenia Mingrelka. I jej serce poraz pierwszy miłość poznało. Jest zgrabna i wyniosła jak cyprys, piękna jak gwiazda, świeża jak róża, skromna jak fiołek. Wszystko, co dać może niebo i ziemia widzi w Abchazie, z którym splotła się duszą, sercem i ciałem, jak splata się młody bluszcz z gibką łozą winogradu. Połączeni ślubem, są tak szczęśliwi, że czują tu, na ziemi, przedsmak rozkoszy niebiańskich. Lecz czyż szczęście ziemskie może być stałe? Wrogie siły zawsze czatują na sposobność zatrucia każdej słodyczy życia jadowitą goryczą.

II.

Nieprzenikniona ciemność pokryła świat. Burza rozszalała się nad ziemią, siekąc ją gradem i zalewając potokami deszczu, jakby usiłowała przeniknąć do jej głębi. Ciemno. Tylko od czasu do czasu blask oślepiającej błyskawicy rozdziera niebo. Burza zdaje się pragnąć znieść, zerwać, unicestwić skałę z napowietrznym zamkiem,

żącego ludowi ze strony socyalnej demokracyi nie można duchowieństwa pominąć bez szkody religijnej i narodowej.... Aby ruch ludowy nie utracił cechy katolickiej i narodowej i nie rozlał się w piasku bezpłodnego radykalizmu lub socyalnego kosmopolityzmu, musi w tym ruchu być takie miejsce dla duchowieństwa, które z ludu wyrosło i z ludem współczuje, a które ma czuwać, aby ten ruch w swej krewkości nie zboczył z drogi prawej... Lud polski nie opuścił w walce kulturnej duchowieństwa, dlatego też duchowieństwo odwdzięczając się, nie opuści ludu i będzie z ludem ramię przy ramieniu broniło wiary i języka ojczystego."

Frazesy takie na Górnym Śląsku są najzwyklejszem oszustwem klerykalnem, gdyż z wyjątkiem 2—3 księży, otwarcie występujących w charakterze Polaków, niema tam wśród duchowieństwa żywiołów, któreby się zdobyły na potępienie germanizacyi przez kościół katolicki. Za najlepszy dowód może posłużyć chociażby ten fakt, że wśród założycieli nowego Towarzystwa, nieukrywającego, że jest polskiem, niema oprócz ks. Skowrońskiego ani jednego księdza.

Odezwa określa cele nowego Towarzystwa w następujący sposób:

1) Polskie Towarzystwo ludowe staje na straży skarbów religijnych. Nasz lud słynie z nabożności i przywiązania do wiary katolickiej. Dlatego będziemy unikali wszystkiego, coby to przywiązanie osłabić mogło, a zwalczali wszystkiemi siłami wszelkie zakusy, z jakiejbądź strony pochodzące, któreby skarbom religijnym zagrażały.

2) Polskie Towarzystwo ludowe, uznaje, że lud górnoślązki jest ludem polskim i ma prawo przyrodzone i nadprzyrodzone do swej narodowości. Dlatego będziemy pielęgnowali poczucie polskie i bronili języka ojczystego, nietylko jako środka do celów religijnych, ale także dla jego wewnętrznej wartości.

3) Polskie Towarzystwo ludowe uznaje, że lud ma prawo żądać dla siebie posłów, którzy nietylko z poczucia sprawiedliwości bronią jego praw narodowych, lecz którzy, będąc kością z kości i krwią z krwi jego, współczują z ludem i tak w Berlinie przemawiają za słusznemi żądaniami swoich wyborców, jak w domu starają się wejść z ludem w jak najściślejszy stosunek, czyniąc w ten sposób sprawę ludu swoją własną sprawą.

4) Polskie Towarzystwo ludowe uznaje, że wszelkimi godziwymi środkami należy podnosić i popierać oświatę i dobrobyt ludu przez książki, pisma, zebrania, towarzystwa, spółki.

Widzimy więc tu najzwyklejszy program klerykałów z obozu katolikowców. Wszak *Katolik* także na pierwszem miejscu stawia obronę wyznania i odpycha od wspólności narodowej Polaków — protestantów, których jest na Górnym Śląsku conajmniej kilkadziesiąt tysięcy i którzy germanizują się opuszczeni przez wszystkich. Wszak *Katolik* tak samo „uznaje," że lud ma prawo żądać posłów pochodzenia śląskiego (np. Królik) i na swój sposób podnosi oświatę i dobrobyt ludu; nowe Towarzystwo odrazu przeto odsłoniło swą rzeczywistą fizyognomię towarzystwa polskich klerykałów obozu katolikowców.

Ciekawy jest stosunek do niego innych grup polskich. Konserwatyści i klerykali poznańscy przyjęli, rozumie się, zachody ks. Skowrońskiego z wielkiem zadowoleniem. Firma *Katolika* i p. Napieralskiego skompromitowała się do tego stopnia w ostatnich wyborach, że nawet konserwatystom i klerykałom nie wypada zbyt otwarcie ją popierać. Ale oto ukazują się nowi ludzie, którzy robocie i tendencyom katolikowców dają nową firmę—i zjawia się możliwość poparcia ich bez kompromitowania się. I *Orędownik* wystąpił z poparciem nowego towarzystwa, powołując się zresztą na stanowisko *Głosu śląskiego*.

Istotnie, stanowisko tego ostatniego może się wydawać dość dziwnem, ale tylko na pierwszy rzut oka. Na czele *Głosu śląskiego*, istniejącego niespełna od pół roku, stoi p. Siemianowski, długoletni współpracownik i współredaktor *Katolika*. Kiedy pokazało się, że kompromis pomiędzy *Katolikiem* a *Górnoślązakiem* nie dojdzie do skutku, p. Siemianowski wystąpił z redakcyi i założył własne pismo, *Głos śląski*, reprezentujący dążności narodowo - demokratycznego Towarzystwa wyborczego, i z ramienia tegoż Towarzystwa został zamianowany, jako kandydat w okręgu lubliniecko-gliwickim przeciwko hr. Ballestremowi. Wynik wyborów pokazał jednak, że oczekiwania demokratów narodowych były zbyt optymistyczne. Kandydatura p. Siemianowskiego, uważana niemal za pewną, zdołała skupić zaledwie parę tysięcy głosów, tak że nawet nie przyszło do wyborów ściślejszych.

Minęły wybory, i p. Siemianowski poczyna widocznie żałować swego zbyt pospiesznego kroku. Spotyka więc Towarzystwo ks. Skowrońskiego z nieukrywanem zadowoleniem, jako most, umożliwiający mu zręczne wycofanie się z niebezpiecznego stanowiska. Przytoczył odezwę ks. Skowrońskiego w całości, nie żałując komplementów i udając, że nie rozumie celu, w jakim Towarzystwo zostało założone. Ze stanowiska *Głosu śląskiego* skorzystał *Orędownik*, który ma z demokratami narodowymi na pieńku, i ostro wystąpił przeciw *Górnoślązakowi*, pisząc: „Jeżeli *Górnoślązak* sam nie zoryentuje się w tem, że nieustające krzykactwo polityczne tylko tamuje odrodzenie narodowe na Górnym Śląsku, to go trzeba pozostawić na łasce boskiej, niech na własną odpowiedzialność wykrzykuje, co chce. Wtedy jednak polskie Towarzystwo wyborcze (zwolenników *Górnoślązaka* i *Głosu śląskiego*), mając poparcie w *Głosie śląskim*, będzie mogło mocno obstawać przy tem, że dalszy rozwój stosunków na Górnym Śląsku musi dokonać się na gruncie narodowym."

Chodzi więc tu o zupełne wyodrębnienie i odosobnienie *Górnoślązaka*. Że ten projekt może się udać, to nie ulega wątpliwości. Należy bowiem wiedzieć, że cały ruch, przez redaktorów *Górnoślązaka* kierowany, ma w sobie dużo żywiołu przypadkowego. Pismo to skorzystało z nastroju szerokich mas, budzących się do świadomości narodowej i z niezadowolenia z polityki centrowców polskich i niemieckich, nurtujących całe społeczeństwo. To niezadowolenie było tak silne, że zdawało się — dość rzucić hasło: „precz z centrum!", aby to ostatnie wymieść odrazu z Górnego Śląska, albo przynajmniej z okręgu przemysłowego. To optymistyczne przekonanie skupiło około narodowo-demokratycznego Towarzystwa wyborczego całe mnóstwo ludzi, nic w gruncie rzeczy niemających wspólnego z zasadami narodowemi *Górnoślązaka*. Kiedy wybory pokazały, że zwycięstwo nie jest tak łatwe, w kole tych ludzi zapanowało zniechęcenie. Poczynają oni obecnie szukać wyjścia z trudnego położenia i czekają tylko sposobności, aby opuścić sztandar *Górnoślązaka*. Zachody ks. Skowrońskiego rzuciły pierwszą kładkę przez rów, dzielący Towarzystwo wyborcze od *Katolika*, p. Siemianowski zrobił pierwszy krok na tej kładce, a tych, co pójdą za jego przykładem, nie zabraknie zapewne.

Cesarski urząd statystyczny opublikował świeżo wyniki ostatniego spisu ludności, dotyczące składu etnograficznego całych Niemiec. Ciekawe są dane co do ludności polskiej, jakkolwiek należy je brać z największą ostrożnością, gdyż są one wynikiem nietyle objektywnych wywiadów sta-

---

a piekło puściło w ruch wszystkie niszczące żywioły, aby wytępić życie na ziemi. Ludzie, zwierzęta, ptaki, ryby, gady — wszystko zdjęte przerażeniem pochowało się w najgłębsze kryjówki. W taką pogodę nawet czart szuka schronienia.

Lecz cóż to za stuk? Czyżby gość w taką porę przybywał? Tak, ktoś stuka do schronienia Abchaza, słychać nawet głos pełen niepokoju.

— Otwórzcie! Pomóżcie! Gość boży prosi o gościnność, jeździec ginie — zbawcie.

Zdumiony Abchaz, rozdmuchawszy przygasły już ogień, otworzył drzwi, wpuścił gościa do pieczary, postawił trójnóg *) przed kominem, a poprosiwszy uprzejmie przybyłego, aby spoczął, sam wybiegł, rozsiodłał konia, przywiązał go, dał jeść i wrócił, aby służyć gościowi.

Ten tymczasem powoli zdjął burkę i odmotywał zakrywający twarz i głowę baszłyk, nakoniec zerwał go, zwrócił się do Abchaza i wesoło zawołał:

Gospodarzu, nie poznajesz mnie? A może ci niemiłe moje odwiedziny?

*) Okrągły, na trzech nogach, stołeczek, używany wszędzie na Kaukazie przez krajowców.

— Safor! to ty? Jakże rad jestem! Nie myślałem, ani przeczuwałem ujrzeć cię tutaj. Czyż może brat twój mleczny widzieć milszego gościa? gdyby tak było, niech zgasną oczy moje.

Objęli się i ucałowali, jak bracia rodzeni. Gospodarz pośpieszył do żony, rozbudził ją radosną nowiną, dodając:

— Prędko przygotuj wieczerzę — on pewno zmęczony i głodny.

— Batu, *) daj pokój — mnie nie do wieczerzy teraz! Inny głód mnie męczy, inne uczucia szarpią moje serce. Chodź lepiej, usiądź i posłuchaj — wszystko ci opowiem. Znasz pewnie dzielnego i dumnego Almoschita, młodego i pięknego bohatera, odważnego jeźdźca, którego koń i oręż nie mają ceny. Imię jego sławne nietylko w Abchazyi, lecz i u nas. Nikt nie wytrzymuje porównania z nim, o nim marzą piękne dziewice. Jedna tylko Zja — chanum nie zwraca na niego uwagi — zapewne dla tego, że wie jak trudno zdobyć serce Almoschita, chociaż zdobywa ona serca wszystkich naszych dżygitów **)

*) Bracie.

*) Coś pośredniego między zuch i bohater.

Zja-chanum, znasz ją, czarująca, jak światło miesiąca, świeci wszystkim, lecz nikogo nie grzeje, przykuwa wzrok każdego, wzbudza rozkoszne drżenie, lecz nikogo nie obdarzyła nawet nadzieją wzajemności. Młodzież ją otacza, pała namiętnością, zamienia się w jej niewolników, lecz nikt dotąd nie przyśpieszył bicia jej serca. Zwycięża, panuje nad każdym, męczy nadzieją, w końcu wymaga jakiegoś niemożliwego czynu bohaterskiego, i gubi nieszczęśliwego. Jej czary i mnie opłatały. Nie sądziłem, aby jakakolwiek na świecie kobieta miała moc panowania nademną, a jednak widzisz, teraz sam jej władzę nad sobą przyznaję. Nie wiem, czy naprawdę jej serce zabiło dla mnie, czy tylko chce mnie zgubić, jak zgubiła tylu innych, lecz obiecała miswą rękę, jeśli w ciągu trzech dni przyprowadzę jej konia Almoschita. Ażeby Almoschit konia mi dobrowolnie odstąpił — o tem niema co myśleć: siłą wziąć niepodobna, pozostaje jeden środek — ukraść, jak kradnie głodny złodziej! Wiem, że to rzecz niegodna uczciwego człowieka, ale nie mam innego sposobu. Dlatego to w taki czas okropny masz mnie u siebie.

Abchaz słuchał z uwagą opowiadania Kabardyńca, a twarz jego stopniowo sta-

tystycznych, ile różnych sztuczek tendencyjnych, a bardzo często i nadużyć, notowanych w swoim czasie przez prasę polską. Im gdzie jest niższy stopień rozwoju świadomości narodowej, tem większe się dzieją nadużycia. Trudno czemu innemu przypisać to gwałtowne zmniejszenie się Polaków w Prusach Wschodnich, jakie zaznacza statystyka urzędowa Wykazuje ona, że z 216,009 głów w r. 1890 cofnęli się Polacy w Prusach Wschodnich w r. 1900 do 155,284, czyli że liczba ich zmniejszyła się w ciągu dziesięciolecia o 60,700! Jest to stanowczo nieprawdopodobne. Również nieprawdopodobnem — zwłaszcza w zestawieniu z tak wymownymi wynikami ostatnich wyborów — jest nadzwyczaj nikłe zwiększenie się żywiołu polskiego w Prusach Zachodnich— o 7,000 dusz. I na Górnym Śląsku przyrost Polaków wygląda dość podejrzanie. W r. 1890 było ich tam 973,554, w 1900 zaś 1,100,831, czyli w ciągu dziesięciolecia przybyło tylko 127,277 dusz. W każdym razie nawet według statystyki rządowej stosunek liczebny Niemców do Polaków uległ tam zmianie, korzystnej dla tych ostatnich. Mianowicie, kiedy w r. 1890 na 100 mieszkańców Śląska (całego, a więc niemieckiego i polskiego) przypadało 23 Polaków, to w dziesięć lat później już 23,6. Najwyższy przyrost tak absolutny, jak i stosunkowy, wykazuje statystyka rządowa w Poznańskiem. W r. 1890 było tam 1,047,409 Polaków, w r. 1900 zaś już 1,156,866, a więc przeszło o 109,000 więcej, przyczem w r. 1890 na 100 mieszkańców przypadało 59,8 Polaków, w roku zaś 1900 61,3. A przecież właśnie Poznańskie jest terenem gorączkowej wprost działalności komisyi kolonizacyjnej!

Statystyka daje pojęcie o wychodźstwie polskiem na Zachód. Widzimy np., że w okresie 1890—1900 stosunek procentowy urósł w Hanowerze z 0,2 do 0,4%, w Nadrenii z 0,1 do 0,4, w Westfalii z 1,0 do 2,9%. W dwóch powiatach westfalskich — Dortmundzkim wiejskim i Bochumskim Polacy tworzą przeszło 10% ogółu ludności. W Gelsenkirchen urośli z 7,4 do 11,7%, a w Recklinghausen z 5,9 na 13,8%.

Wspomniałem już o projekcie „Czarnej księgi,“ wywołanym przejściem w ostatnich czasach szeregu majątków polskich w ręce Komisyi kolonizacyjnej. Inicyatywę tej „Czarnej księgi,“ mającej dać spis nazwisk wszystkich sprzedawczyków, podjął *Dziennik Berliński*, znalazły się i środki potrzebne. Inicyatorowie zaproponowali patronat nad tem wydawnictwem sędziwemu Maksymilianowi Jackowskiemu, cieszącemu się ogólnym szacunkiem człowiekowi, ten jednak patronatu nie przyjął, uważając rzecz za niewykonalną.

Z powodu nowych sprzedaży na rzecz Komisyi kolonizacyjnej w prasie powstają coraz to nowe projekty ratowania ziemi. Ktoś proponuje t. zw. „związki rodzinne,“ mające gwarantować większą stałość w posiadaniu majątków. Związki te — są to właściwie spółki ekonomiczne, złożone z członków jakiejś rodziny. Najstarszy członek związku czuwa nad własnością rodziny, a lekkomyślni członkowie związku, zagrażający jej, są wykluczani od wszelkiego posiadania. Mogą być nawet oddani pod kuratelę. Ktoś inny znowu proponuje, aby włościanie, posiadający własność, obciążoną długiem, ubezpieczali się na życie na sumę, równającą się wysokości długu. W ten sposób ich spadkobiercy, uzyskawszy premię ubezpieczeniową, będą mogli oczyścić z ciężarów majątek i zachować ziemię w ręku. Jeszcze inni proponują nabywanie majątków ziemskich na akcye, na wzór przedsiębiorstw przemysłowych.

Czy te plany do czegoś doprowadzą, wątpić można. Na razie pocieszać się trzeba tem tylko, że włościanie polscy z mrówczą skrzętnością, żywiołowo zakupują ziemię z rąk niemieckich, zaokrąglając swe posiadłości. No i tem, że miliony kolonizacyi topnieją, jak śnieg na wiosnę. *Posener Neueste Nachrichten* biadają nad marnotrawieniem milionów komisyi. Ta ostatnia kupiła w ostatniem półroczu od Landbanku cztery dobra rycerskie, zajmujące przeszło 4,600 hektarów. Wszystkie te majątki Landbank kupił przed trzema laty po cenach straszliwie wysokich i nie mógł się ich pozbyć mimo poleceń w wielu gazetach i mimo całej armii agentów. Gospodarstwo w tych olbrzymich posiadłościach podczas dwóch lat nieurodzajnych pochłonęło kolosalne sumy. Komisya kolonizacyjna bez żadnych naglących powodów kupiła od Landbanku ten ciężar za wysoką cenę. Czyż te 25 milionów marek, niedawno asygnowane, są po to — pyta pismo poznańskie — aby wybawiać prywatne towarzystwa akcyjne z kłopotów? Przez tak forsowne kupna ceny majątków w Poznańskiem podniosły się tak, jak nigdy, ku niemałej szkodzie kolonistów niemieckich, którzy nie będą mogli podnosić się ekonomicznie pod ciężarem wysokich rent na obszarach, tak drogo kupionych. Prócz tego wobec cen, sztucznie wyśrubowanych, osoby prywatne nie będą mogły nabywać majątków. Przypływ rolników z Westfalii i Saksonii ustał zupełnie od czasu istnienia Komisyi kolonizacyjnej, ponieważ forsowne zakupy zbyt podniosły ceny ziemi, aby można było liczyć na jej opłacenie się. A właśnie z Westfalii i Saksonii przybywali do Poznańskiego owi rolnicy, którzy tam przynieśli wysoką kulturę i jeszcze dziś wzorowo gospodarzą na swoich majątkach. Kolonistom w ostatnich dwóch latach, w których mieliśmy dobre żniwo, jeszcze dobrze się powodziło, ale gdy przyjdzie nieurodzaj — cóż tedy?

Tak biada hakatystyczny organ — i nie bez słuszności.

Pośrednik.

Kopyto hańby.

Córka Teresy Humbertowej, wysłuchawszy wyroku, skazującego matkę za bezprzykładne oszustwa na pięcioletnie więzienie, zawołała: „To hańba!“ Niepodobna wymagać od niej bezstronności i usprawiedliwić należy jej ból; mimo to sądzę, że w innym czasie i w innych warunkach panna Humbertówna wyrażałaby go nie tem słowem. Oskarżyłaby może sędziów o zbytnią surowość i okrucieństwo, wybuchłaby rozpaczą, ale nie zdjęłaby sromotnego piętna z czoła matki i nie cisnęła go na głowy przysięgłych. Uczyniła to zaś, bo świadomie lub bezwiednie rozumie, że dziś moralność pomieszała się z niemoralnością zupełnie i że niema takiego łotrostwa, któreby nie zyskało czcicieli i obrońców. Teresa Humbertowa mogła była do swych szalbierstw dołączyć jeszcze wiele innych niecnot, mogła była zdobyć wszystkie recordy niepoństwa i gdyby tylko z płaczem i kłamstwem zwróciła się do łaskawej publiczności, znalazłaby śród niej czułe serca, któreby uznały, że wszyscy okradzeni, spotwarzeni i zabici przez nią są patentowanymi niegodziwcami, a ona ich nieszczęśliwą ofiarą. Panna Humbertówna, chociaż nie posiada matczynej wprawy w okpiwaniu ludzi, już zdołała o tyle poznać świat, że dostrzegła równoprawność uczciwości i podłości w rzucaniu oburzeń moralnych, więc nazywając hańbą karę, wymierzoną jej matce za fałszerstwa i kradzieże, spodziewała się zbudzić dla niej współczucie. I nie zawiodła się. Pomiędzy słuchaczami procesu objawiono jej sympatyę, a w prasie niektóre dzienniki mniemaną krzywdę Humbertów umieściły na swym sztandarze, jako hasło

---

wała się coraz chmurniejsza. Po chwili milczenia rzekł:

— Żałuję, że wymyśliłeś i zdecydowałeś się na krok tak hańbiący, lecz gdy miłość zapuściła zbyt głęboko żądło w twoje serce, trzeba się poddać żądaniu ukochanej. Jej marzenia, pragnienia, nawet kaprysy powinny być dla ciebie święte, choćbyś miał zginąć. Wprawdzie jesteś młody jeszcze, lecz rozumny, doświadczony, odważny i waleczny, umiesz sobie dawać zawsze radę, w danym jednak wypadku potrzebna jeszcze ostrożność. Choć ostrożność nazywają tchórzostwem, lecz to nie prawda—między niemi jest taka różnica, jak między łaską bożą a gniewem. Zastanów się więc dokąd idziesz, jak i co cię spotkać może. Wzrok masz bystry, lecz cóż on ci pomoże w miejscu nieznanem? a chociażbyś trafił, jakże dostaniesz się do wnętrza zamku, nie znając go wcale i nie wiedząc z której strony można wejść łatwiej; zdaj to na mnie. O świcie przyprowadzę ci konia, lub głowę sam położę. Ty tymczasem rozgrzej się przy ogniu, zaśnij a gdy wrócę ze zdobyczą — dodał z uśmiechem — zażądam od ciebie wspaniałej nagrody za niebezpieczną wyprawę.

Ubrał się, wziął broń i wyszedł. Grzmoty i pioruny wstrząsały górą, a błyskawice rozświecały ciemności.

III.

Wiatr rozwiał chmury i niebo się wyjaśniło. Na wschodzie już się mrok rozprasza, a na zachodzie jeszcze gwiazdy świecą.

Dzielny Abchaz pełen radości podjeżdża do swej warowni; gniadego konia przywiązuje i cicho wchodzi do jaskini. Jego brat mleczny śpi, przykryty burką, więc bez szmeru skrada się do sypialni popatrzeć na swą ukochaną. Lecz cóż spostrzega? — czy to sen?

Nazi-Brała z pokrwawionemi policzkami, *) w podartem ubraniu, tarza się po podłodze, uderza głową o skałę, rwie włosy i zalewa się gorzkiemi łzami. Pościel zmięta i rozrzucona.

Zrozumiał, co się stało i serce ścisnęło mu się boleśnie, myśli poplątały bezładnie, w oczach pociemniało, wreszcie napół nieprzytomny upadł na ziemię. Długo tak leżał bez czucia, nakoniec łkania ukochanej żony, jej rozpacz niepocieszona dodały mu sił, podniósł się, podszedł do niej, a wziąwszy jej rękę w swoje dłonie, rzekł:

— Nie płacz, najdroższa — to był sen. Zapomnij o tem! Pan Bóg zsyła na nas ciężkie doświadczenia, pomimowoli wpadamy w grzech, lecz tyś niewinna — zapomnij o tym strasznym śnie. Nie wiń siebie, tyś niewinna i miłość nasza zostaje czysta, jak światło jaśniejącej lampy.

Objął ją, przycisnął do piersi i dopóty pieścił i całował, dopóki pocałunkami nie osuszył jej oczu, a gorącą miłością nie przywrócił jej duszy spokoju. Wtedy ułożył ją w pościel, a sam poszedł do gościa. Chwilę stał w niepewności, co ma uczynić, poczem rozbudził go słowami:

— Wstań, bracie, już późno!

Safor zerwał się niby ukłóty, niepewny, jak się zachowa względem niego skrzywdzony i shańbiony mąż. Lecz ujrzawszy uśmiech, sądził, że żona ukryła przed nim swą krzywdę. Nie mogąc jednak śmiało spojrzeć w oczy Abchaza, rzekł głosem niepewnym:

— Na twarzy twojej widzę wypisany tryumf zwycięzcy. Czyż naprawdę otworzyłeś mi drogę do szczęścia?

— Tak, spełniłem, czego pragnąłeś; koń czeka cię. Spiesz się w drogę. Zatrzymałbym cię, lecz wiem, że serce twoje rwie się do ukochanej.

*) Jest zwyczaj u kaukaskich plemion w przystępie żalu drapać sobie twarz.

walki z rządem. Śliczny obrazek, a jego szatański wdzięk spoczywa nie w tem, że jak się okazało, dość ograniczona i bezczelna baba mogła wyłudzić od rozważnych ludzi kilkadziesiąt milionów franków fortelem, na który nie złapaliby się prostoduszni Maćkowie, ale w tem, że z zakończenia tej sprawy wychyliła swe bezwstydne oblicze etyka naszego czasu, która wszystko gotowa potępić i wszystko uniewinnić. Duch tej epoki nie jest surowowo-sędziowskim, lecz krętarsko-adwokackim, a gdyby mu wzniesiono ołtarz, mógłby na nim, jako widome bożyszcze, stanąć Labori, ten sam Labori, który kiedyś bronił Dreyfusa i Zolę, a teraz broni Humbertów. Zdaje się, że żywoty ludzkie leżą jak wyprawione skóry, z których pewni majstrowie zobowiązują się zrobić cokolwiek według obstalowanej miary i użytego kopyta. But, kamasz, pantofel, trzewik — wszystko jedno, tylko się inaczej skórę przykraje i odszyje. Zmartwychwstańcie z grobów sofiści greccy i upomnijcie się o wyrządzoną wam krzywdę w niesławie, która dziś jest chwałą! Was była garść, nowoczesnych krętaczów jest milion; wy marnowaliście swoje talenty w łamigłówkach rozumowania, dowodząc, że kij nie jest jednością, bo może być złamany na dwoje, wasi naśladowcy przerabiają zbrodnię na męczeństwo, bezwstyd na skromność, rozpustę na niewinność — lub odwrotnie. Kto patrzy i wierzy w przyszłość, widzi w niej ogromną miotłę, która kiedyś oczyści Augiaszową stajnię dzisiejszej moralności.

Go—on.

Włoski proletaryat rybacki.

Wiadomo jak ważną rolę gra ryba w odżywianiu ludności nadmorskiej; jest to pokarm zdrowy, pożywny i względnie tani, jeśli otrzymany z pierwszych rąk, stanowi też najcenniejszy posiłek ubogiego proletaryatu nadbrzeżnych miasteczek i osad, a jako przedmiot handlu międzynarodowego, na rynkach zagranicznych przynosi duże zyski swym dostawcom. We Włoszech np. w latach pomyślnych dochód roczny z wywozu ryb dosięga cyfry szesnastu milionów. Suma ta jest nizka, jeśli się weźmie urzędową statystykę francuską, która oblicza, że Francya w r. 1899 zarobiła 168 milionów na dostawie ryb cudzoziemskim spożywcom. A jednak wybrzeża włoskie są dwa razy rozleglejsze od francuskich; bowiem długość ich wynosi 6,650 kilometr., a francuskich zaledwie 3,120. Przyczyny tej rażącej różnicy na niekorzyść Włoch, należy szukać w niedbałości rządu i społeczeństwa o dobro i pomyślność proletaryatu rybackiego, który rozrzucony małemi garstkami na cej rozciągłości wybrzeży włoskich, spędza znaczną część dnia i nocy na morzu, w zetknięciu z naturą groźną i pełną niebezpieczeństw. W piosenkach tego ludu, który przedstawia typ wysoce oryginalny i sympatyczny człowieka o gibkiem, sprężystem ciele, i bystrej, instynktownej prawie inteligencyi, — w piosenkach jego dźwięczą dwie tylko nuty: miłości dla morza i miłości dla kobiety. Rybacy są przeważnie analfabetami. Możnaby przypuszczać, że właśnie dlatego nie zajęto się nimi dotąd, gdyż analfabeci są wykluczeni od ważniejszych spraw wyborczych, przedstawiają przeto małą wartość polityczną. Ale rzeczywistej przyczyny tego zaniedbania należy szukać w ich wyjątkowem położeniu. Rybacy nie mogą być zaliczeni do żadnej z kategoryj, na które rozpadają się klasy ludowe. Nie są oni, jak robotnicy miejscy, płatnymi dziennie najemnikami, nie posiadają żadnej własności, nawet narzędzi pracy. Łódka i sieci należą zwykle do zamożniejszych, którzy biorą do pomocy zupełnie biednych i przypuszczają ich do udziału w dochodach. Od zysków otrzymanych ze sprzedaży ryb odtrąca się przedewszystkiem czwartą część na pokrycie kosztów, jak kupno koszyków, wynagrodzenia rybaka sterującego łodzią, ceł, itp. Reszta zostaje podzieloną na pięć części, z których, zależnie od okolicy, w jakiej ma miejsce połów, $2^1/_4$, aż do $3^1/_2$ dostaje się właścicielowi statku. Ponieważ łódź rybacka kosztuje przeciętnie 2,250 lirów, a może służyć tylko przez lat ośmnaście, poczem skielet jej sprzedaje się, za sto lirów, ponieważ nabycie innych niezbędnych przedmiotów oraz ich naprawa wymagają rocznie 870 lirów nakładu, nie trudno zrozumieć, jak mały jest dochód rybaka właściciela, który w dodatku, w razie rozbicia statku, jest narażony na utratę całego mienia. We wszystkich krajach, mających stosunki z morzem, istnieją kasy ubezpieczeń, które zwracają rybakom utracone wśród burzy łodzie i narzędzia pracy, a w razie zatonięcia załogi opiekują się osieroconemi rodzinami; we Włoszech jednak nie stworzono dotąd nic podobnego; pozwolono nawet upaść kilku instytucyom, pochodzącym z czasów dawniejszych, a nieuznanym i niewspomaganym przez rząd włoski. Należy jeszcze dodać, że łodzie nie ulegałyby tak prędko zniszczeniu, gdyby na wybrzeżach włoskich urządzone były porty prawidłowe, a wskutek tego nie istniała konieczność wyciągania za każdą razą statku na ląd i powrotnego spuszczenia go na wodę. Niemcy wydały 18 milionów na budowę portów rybackich, rozumieją bowiem, że chcąc mieć dobrą flotę handlową, trzeba mieć przedewszystkiem dzielnych i doświadczonych marynarzy, a tych nie da się wykształcić z dnia na dzień z mieszkańców miast lub wsi, lecz trzeba brać z pośród ludności przywykłej do żeglugi, oswojonej od dzieciństwa z życiem na morzu, z jego trudami i niebezpieczeństwami. Zaniedbana pod względem ekonomicznym ludność rybacka tłumnie emigruje do fabryk, a pozostali żyją w nędzy, zniechęceni do swego zawodu. Los rybaków włoskich jest bardzo ciężki. Na ich niewielki i mozolnie zdobyty zarobek czyhają różni handlarze- pośrednicy, przez których ręce musi przejść ryba, zanim dostanie się spożywcy. Oni to właśnie wyzyskują haniebnie pracę robotnika. Na ich czele stoi tak zwany *vendaor*, któremu rybacy powierzają swój połów i który otrzymuje pięć procent ogólnej sumy, wziętej ze sprzedaży.

W mieście portowem Chioggia jest jedenastu *vendaor*'ów, z których każdy ma rocznie 8,850 lirów czystego dochodu. Wystawiają oni na licytacyę towar, o który ubiegają się kupcy hurtowni, a od tych dopiero kupuje mniejszy handlarz, sprzedający ryby na targach miejskich. Trzech ludzi zatem zabiera znaczną część z zysku należącego się rybakowi. Z uszczuplonego w ten sposób dochodu, przypada przeciętnie na rybaka 1 lir lub najwyżej 1,50 dziennie, prócz ryby, której pewna ilość dostaje mu się na pokarm w czasie trwania połowu.

Ogółem biorąc, rybacy odżywiają się lepiej, niż włościanie i robotnicy miejscy. Jadło ich choć, nieobfite, zawiera w sobie dużo białka, prócz tego rybołówstwo mniej wycieńcza organizm, gdyż nie wymaga nieustannego wytężenia sił, praca jest tu przeplatana dłuższemi wypoczynkami, na jakie nie pozwala zajęcie w fabryce lub na roli. Z tych względów dola rybacka mogłaby się wydawać znośną, gdyby nie zwiększona konkurencya, przy jednakowej a nawet mniejszej, bo wyczerpanej intensywnem rybołówstwem, wydajności morza, nie utrudniała mu życia. Opła-

---

Pomógł mu się ubrać, nakarmił go, najtroskliwiej przestrzegał praw gościnności. Osiodławszy konie, swojego dał gościowi, sam siadł na ukradzionego i, jak wicher popędzili w dół, skacząc ze skały na skałę. A gdy znaleźli się już na równinie i zatrzymali konie, Abchaz rzekł groźnie do Kabardyńca:

— Safor-beg *), znam twą podłość. Są krzywdy, których język nie wypowie i których się nigdy nie przebacza! Idź swą drogą, uchodź precz z przed moich oczu! Lecz pamiętaj — strzeż się! jeżeli oczy moje ujrzą cię kiedykolwiek, zapragnę zobaczyć twoją krew!

Safor zadrżał i pobladł, jak trup. Po chwili szepnął:

— Tak, mówisz prawdę! ja nic odpowiedzieć nie mogę. Sam szatan zaplątał mnie w swe sieci i pchnął do nikczemnej zbrodni. Jestem twoim niewolnikiem: chylę się przed tobą i o jedną tylko łaskę cię błagam — weź moją głowę. Śmierć lepsza, niż życie shańbione.

— Nie, prawica moja nie zmaże się krwią twoją — tyś ssał pierś mojej matki! Dość, że pójdzie z tobą pamięć twej zbrodni; żeś przestąpił prawo ojców naszych, wyższe, świętsze, niż wszystkie prawa pisane; że żyć będziesz z wieczną zgryzotą sumienia. Oddal się, ja cię karać nie będę, lecz żądam od ciebie, abyś, gdy wrócisz do ojczyzny, stanął natychmiast przed twym mistrzem, nauczycielem i wychowawcą, opowiesz mu o twym bohaterskim czynie i wysłuchasz jego wyroku.

Oddał Saforowi ukradzionego konia, wziął swego i powoli oddalił się.

IV.

Nie starożytnością rodu, nie siłą, bohaterskimi czynami lub odwagą, nie bogactwem nakoniec, wsławił się siwowłosy Adżi-Usup — lecz szlachetnością, mądrością i nauką. Żadna uroczystość, czy to wesele, czy pogrzeb, czy święto narodowe, bez niego obejść się nie może. On święte prawa Mahometa wypisane ma na dłoni. On objechał cały świat i pielgrzymował do miejsc świętych. Stary latami, lecz rzeźwy duchem i ciałem. Wszystka znakomita młodzież Kabardy rośnie pod jego przewodnictwem. Safor-beg jest także jego uczniem. Lecz wychowawca nie jest niańką, aby miał wiecznie prowadzić na pasku swego ucznia, nie jest też wszechmocnym, aby mógł zmienić naturę wychowańca. Safor-beg udał się do Usupa, pozdrowił go, schyliwszy głowę ze czcią i szczerze, serdecznie wyspowiadał się ze swej ciężkiej winy. Opowiadania swoje przerywał jękami i łkaniem. Adżi-Usup zadrżał. Twarz mu się nową siecią zmarszczek pokryła i pobladła śmiertelnie. Naglił Safora, aby kończył opowiadanie, zarzucając go pytaniami:

— A potem co było? potem? Cóż on zrobił, jak z tobą postąpił?

— On mi przebaczył, jako bratu mlecznemu. Lecz zobowiązał udać się do ciebie, mistrzu, powierzyć ci wszystko i przyjąć twój wyrok.

— Ach, rozumiem! Wyrok może być tylko jeden: taką hańbę zmywa jedynie krew.

Spiesznie wydobył pistolet, odwiódł kurki, a Safor, śledząc uważnie, co mistrz czyni, z pokorą podstawił pierś. Usup potrząsnął głową przecząco:

— Nie, nie ty jesteś godzien śmierci, lecz twój wychowawca powinien zginąć — dlaczego nie umiał cię wychować?

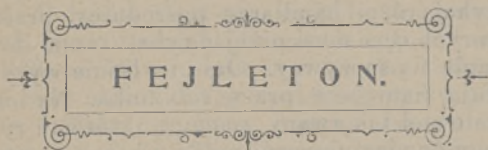
I padł strzał. Gdy się dym rozrzedził, Adżi-Usup leżał martwy — z przestrzelonej skroni ciekła krew.

*) Teg, beg — szlachcic, pan.

kanym jest szczególnie los dzieci rybackich, o których niema wcale wzmianki w świeżo ustanowionem prawie o ograniczeniu pracy nieletnich, i które już w ósmym roku życia bywają zabierane na łodzie i obracane do lżejszych posług.

W ostatnich czasach wreszcie zajęto się dolą tych wydziedziczonych. Założono w Wenecyi pod przewodnictwem zasłużonego na tem polu działacza, dr. Levi Morenos'a, szkołę rybołówstwa, która ma obznajmiać rybaków (za pośrednictwem odczytów, wskazówek udzielanych, zgłaszającym się po radę) z nowoczesnemi zdobyczami nauki, tyczącemi się ich rzemiosła. Idąc dalej w tym samym kierunku, otworzono w Wenecyi i Porto d'Anzio przytułek dla osieroconych i opuszczonych dzieci rybackich, które mają się tam kształcić, jak racyonalnie korzystać z naturalnych bogactw morza.

M. Rygier.



FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Terror ostatniej nowości.

Ludziom się zdaje, że do końca życia idą naprzód; tymczasem oni zwykle w połowie drogi zatrzymują się i tylko poruszają nogami, stojąc na miejscu. Nie przekonywa ich wcale o tem widok młodszych, którzy ich wyprzedzili, bo go uważają za niebezpieczny wyskok lub zboczenie. Człowiek wprzód traci siły, niż ambicyę posiadania ich, a gdy nawet sam uwierzy w ten ubytek, kryje go przed innymi. Jest to brzydka obłuda z pięknem źródłem w szlachetnej dumie. Jeden z najradykalniejszych i najgłębszych umysłów XIX w., A. Lange, bronił zrujnowanych szlachciców, usiłujących sztucznymi pozorami podtrzymać blask postradanego mienia. Rzeczywiście, jeżeli taki bankrut, który już nie ma na karmienie siebie i swojej rodziny kartoflami, wyprawia gościom zbytkowne uczty za pożyczone pieniądze, to jest on ekonomicznym głupcem a nieraz szkodnikiem. Jeśli wszakże zajrzymy pod spód jego kłamliwej próżności, dostrzeżemy chęć pozostania w wyższym (według niego) typie i rozpaczliwy opór zejścia na niższy (według niego) szczebel życia. Chęć tę musimy uznać za sprężynę dodatnią bez względu na linię jej działania tak samo, jak w przeciwnym kierunku usprawiedliwiamy fanatyka, który dla upodobnienia się do ideału umartwia swoje ciało. Buddysta pokryty brudem, trzymający ciągle zaciśnięte pięści, ażeby mu paznokcie przerosły przez dłoń na wierzch ręki, z włosami rojącymi się od robactwa — jest wstrętny; a jednakże czyż w jego duszy nie płonie czysty ogień dążenia do doskonałości? Duma może być w celach swoich niedorzeczną, ale w istocie swojej jest zawsze dostojną; podobnież wstyd może być w objawach śmiesznym, ale w pobudce jest chwalebnym. Przypatrzcie się uważnie Donkiszotowi...

Duma i wstyd nie pozwalają również człowiekowi przyznać, a nawet uwierzyć, że jego myśl kiedykolwiek stanęła. Jemu się zdaje, że ona ciągle idzie naprzód, że dotrzymuje kroku najmłodszym i najścigłejszym: tylko bogata doświadczeniem i rozwagą unika zboczeń i karkołomnych skoków. Pokolenia starsze nie żądają od młodszych nieruchomości, ale umiarkowania w ruchu, który zawsze uważają za zbyt gwałtowny. Prawie dla każdego ojca syn chodzi po linie, rozpiętej między dwiema wysokiemi wieżami, rzuca się w beczce w wodospad Niagary lub wspina się po stromej ścianie góry nad przepaścią, chociaż on biegnie pewną, tylko nieprzetorowaną drogą. Organizm dojrzały, który już utracił potrzebę śmiałości, który nie odczuwa w sobie ani sił, ani uzdolnień do zmniejszania ryzyka sprawnością rzutu, nie rozumie młodego i widzi tam niebezpieczeństwo, gdzie go niema. I chociażby najskromniej oceniał wyniki swoich rozmyślań i doświadczeń, zawsze jest skłonnym do mniemania, że w granicach jego widnokręgu mieszczą się wszystkie główniejsze przedmioty poznania i że na nie od jego rozumu pada dostateczne światło. Dlatego to nasza pedagogika jest przeważnie ciągłem karceniem lub kłótnią rodziców z dziećmi, kłótnią tem ostrzejszą, im troskliwsi są rodzice i lepsze mają dzieci. (Tu muszę ostrzedz wszystkie kryminaliki rodzinne, wszystkie zwyrodniałe okazy wczesnego zepsucia, wszystkich buntowników i buntownice oburzone na płoty rodzicielskie, zagradzające im drogę do więzienia lub pręgierza, że nie o nich mówię). Natężenie tego zatargu stanowi wykładnik rozwoju umysłowego pokoleń. To znaczy, że jest on największy wtedy, kiedy stare są najbardziej powaśnione z młodemi, kiedy rodzice najmniej rozumieją swoje dzieci. Ich wzajemne żale i potargane stosunki mogą nieraz wznosić się aż do bolesnej tragedyi w zakresie życia jednostkowego lub rodzinnego, społecznie wszakże dowodzą postępu. Kura, biegająca z krzykiem nad brzegiem stawu, po którym pływają wysiedziane przez nią kaczęta, może istotnie cierpieć, bo wierzy, że one potoną; ale my wiemy, że woda jest ich właściwym żywiołem, że nic im nie grozi. Dla kury litość, dla kacząt pozdrowienie.

Historya przedstawia tak długi i nieprzerwany łańcuch starć, w których pokolenia młode zwracały się przeciw starym i zwyciężały je, że ich słuszność w każdej podobnej walce stała się dawno pewnikiem. Stanął niemal dogmat: młodość ma racyę, bo czyta w księdze przyszłości, której starość nie rozumie. Rzeczywiście jest to reguła, zapewniająca najmniejszą ilość omyłek przy sądzeniu zwrotów rozwoju przekonań. Ale czy ona jest bezwzględnie prawdziwą? Czy każda nowa fala wyobrażeń, wierzeń, zasad i dążeń jest czystszą i mocniejszą? Nie. Zarówno rozum, jak życie przekonywa nas, że nieraz dzieje się przeciwnie. Historya pamięta wypadki, w których nowe, zapamiętale bronione przez swych twórców teorye były uwstecznieniem myśli ludzkiej. Tak np. w XIII w. Raymundus Lulus wynalazł maszynę filozoficzną, w której za pomocą kręcenia siedmiu kół oznaczonych dowolnie wybranemi pojęciami miano wykrywać wszelkie prawdy i błędy. „Lulliści“ byli nowatorami, bronili swego narzędzia zapamiętale i długo, upewniali, że niem zreformują całą wiedzę i wytępią niedowiarków, a ostatecznie zdobyli tylko sławę dziwolągów i zachwaścili filozofię najgorszem zielskiem scholastycznem. A takich cudackich i niedorzecznych pomysłów zrodziło się bardzo wiele. Zaiste, ludzkość mogłaby się nazwać bardzo szczęśliwą, gdyby jej rozwój był prostolinijny i ciągły, gdyby nie potrzebowała cofać się i zbaczać, gdyby każde nowe pokolenie było wcieleniem nowego ogniwa postępu. Niestety, tak nie jest. Wiemy, że średnie wieki były ruchem wstecznym w stosunku do epoki greko-rzymskiej, że początek XIX stulecia nie dorównywał końcowi XVIII, że wreszcie nasz obecny okres wydaje przeważnie hasła marszu w tył. A mimo to nie wyrzeka on się ani przywileju, ani aureoli nowatorstwa. Pod imieniem „ostatniej fali“ i „ostatniego słowa“ — nauki, sztuki, stosunków społecznych — głoszone są teorye i zasady, które prawdopodobnie lub niewątpliwie stanowią posiew przyszłości, inne, których wartość pozostaje zagadkową i jeszcze inne, które w najpomyślniejszym dla nich wypadku doczekają się chwały pomysłu Rajmunda Lulusa. I właśnie te ostatnie najmocniej bryzgają wzgardą tym, którzy ich nie sławią, a bodaj dwie godziny urodzili się wcześniej. Czytałem małe i duże utwory, z ogłuszającym hukiem wprowadzone do literatury, które nie miały żadnego lub prawie żadnego sensu. Czytałem nawet dowodzenia, że sens nie jest wcale potrzebny w poezyi, która ma wywoływać tylko „nastroje.“ Otóż zdaje mi się, że słowo, jako środek wyrażania myśli i uczuć nie mniej w sztuce, niż w nauce, musi posiadać śród ludzi określone znaczenie i że bez niego zejdzie do mowy zwierząt. Gdy pies szczeka, nie zawiadamia wyraźnie, że do domu zbliżył się obcy człowiek, którego należy pokąsać i wypędzić; gdy owca beczy, nie żali się, że jej pasterz odebrał jagnię; gdy koń rży, nie żąda, ażeby go furman wyprowadził ze stajni na łąkę; one tylko wywołują w swych towarzyszach pewien nastrój, skutkiem którego inne psy szczekają, owce beczą i konie rżą. Zwierzętom taka mowa wystarcza, ludziom — nie. Ludzie nawet od poezyi zawsze wymagali, wymagają i wymagać będą słów i zdań z jasno określonem znaczeniem i dla nich mechaniczne zestawienie najtwardszych brzmień języka nie będzie wyrażało grozy, a najmiększych — tkliwości. Wszystko to wydaje się jasnem, prostem i logicznem zarówno w r. 1903, jak w 2567-ym. Tymczasem twórcy takich bezsensowych brzmień, takich nieoznaczonych akordów i frazesów słownych, zamieniających język na swojego rodzaju muzykę, odpowiadają nam, żeśmy starzy, zacofani, niezdolni zrozumieć odrodzonej poezyi, którą oni wnoszą. I oto stawia na placu publicznym swą straszną gilotynę terror ostatniej nowości, który nielitościwie odcina nią głowy nieuznającym jego władzy i przed którym korzą się wszystkie umysły bezkrytyczne, wszystkie dusze oślepione wiarą, że zawsze wierzchnia warstwa w pokładach mniemań jest doskonalszą. Może w niej być jałowy piasek, odłamki malowanego szkła, kawałki zagrzebanej padliny — znajdą się ludzie, dla których ona będzie niewyczerpaną kopalnią szlachetnych kruszców. Spróbujcie wyrabiać wiersze czytane wstecz od strony prawej ku lewej, opuszczać w nich pewną samogłoskę albo spółgłoskę, układać je z jednej litery *u* lub *o* dla wywołania nastroju smutnego lub radosnego, dowodzić, że małpa jest logarytmem człowieka, że słońce jest brylantem olbrzymiego pierścienia na palcu przestrzeni ustrojonej w gwiazdy, że w kryształach koperwasu najpiękniej załamują się promienie miłości—nietylko znajdziecie gorących wyznawców, ale nawet śmiałych krzyżowców, broniących kolebkę „nowej idei“ od niewiernych. Dzisiejsze głupstwo zawsze z góry patrzy na wczorajszą prawdę, a najświeższa data jest mieczem w rękach terrorystów ostatniej nowości. Tą bronią nie można zawojować świata, ale można w nim zdobyć jakąś gminę.

Nie wiadomo, które z dwojga złego jest gorsze: czy bałwochwalstwo dla prawd starych, zmurszałych, stoczonych przez wszystkie robaki zwątpienia, czy dziecinna wiara w bóstwo krokodyla, który dopiero się wylągł. Nie ulega wątpliwości, że tyrania przeżytków umysłowych jest straszna, że wzrok ludzki jest za krótki, ażeby mógł sięgnąć po za ciasne granice swego czasu, że z wiekiem pada na oczy nasze katarakta, która nam nie pozwala dostrzegać rzeczy najwyraźniejszych, że młodość widzi dalej i lepiej, niż starość, że dla spokoju drugiej nie powinniśmy nigdy trzymać jej w klatce lub wiązać na sznurku, ale i to również jest pewnem, że nowe głupstwo

przywłaszcza sobie także prawa tyranii, które łamać należy. Jak zaś rozróżnić wschodzącą gwiazdę lub przelatujący meteor od latarki, zawieszonej na kiju lub ognia bengalskiego, to już jest sprawą krytycznego rozumu, którego ani wypożyczyć, ani darować, ani sprzedać nie można.

Poseł Prawdy.



Rocznik i kongres socyologiczny.

Tom IX *Annales de l'Institut International de Sociologie*, wydany w r. bież. pod redakcyą R. Wormsa, zawiera kilka prac interesujących. Na pierwszem miejscu znany socyolog amerykański, Lester F. Ward, tegoroczny prezes instytutu, kreśli, jak sam się wyraża, „utopię socyologiczną" na temat integracyi społeczeństw. Ward dzieli całą historyę ludzkości na dwa główne okresy: różnicowania— i całkowania się ras. Gdy rodzaj ludzki, pierwotnie podług Warda powstały w jednem miejscu kuli ziemskiej — gdyż wobec mnóstwa warunków i pierwiastków, kombinujących się, nieprawdopodobnem byłoby powstanie jednego i tego samego typu w wielu różnych punktach, a o jedności biologicznej rodzaju ludzkiego świadczy niezbicie ten fakt, że wszystkie rasy ludzkie zapładniają się wzajemnie — gdy więc rodzaj ludzki rozproszył się po ziemi, każda jego gromada, odosobniona od innych, żyjąca w odmiennych warunkach, stała się rasą odrębną. Po pewnym czasie zaczęła działać fala powrotna: gromady-rasy ludzkie zaczęły się spotykać i — na drodze wojny lub pokoju — przenikać nawzajem. Stąd dzisiejsze rasy i narody, z wielu pierwotnych ras zcałkowane, wszystkie bez wyjątku pod względem rasowym mieszane. Dotychczas integracya ras szła krokiem niezmiernie powolnym; dopiero teraz zaczyna się właściwa jej epoka, teraz, kiedy cały glob przecięty jest szybkiemi i taniemi drogami komunikacyi, kiedy „jeden mężczyzna może zostać ojcem we wszystkich częściach świata," zacznie się stosunkowo niezmiernie szybkie mieszanie ze sobą ras istniejących; śladem W. H. Holmesa, dyrektora biura etnologicznego w Stanach Zjednoczonych, Ward przepowiada czas, w którym na całej kuli ziemskiej istnieć będzie tylko jedna rasa. Panować w niej będą, ich zdaniem, cechy rasy dziś najwyższej, białej; wogóle, ma być ona urzeczywistnieniem wszystkiego, co dobre i wielkie w człowieku... Zapewne, że owa rasa będzie miała takie o sobie samej przekonanie; ale innego dowodu na poparcie swego optymizmu chyba sam Ward nie posiada...

Bardziej uzasadniona jest jego przepowiednia, że ta rasa ma przed sobą bardzo długie życie i z pesymistycznemi obawami końca „świata," ostygnięcia ziemi itp. wcale liczyć się nie potrzebuje. W tym celu pokazuje Ward (modyfikując obliczenia Haeckla), jak niezmiernie krótkiem jest dotychczasowe istnienie człowieka na ziemi. Czas istnienia jakiegokolwiekbądź życia organicznego wynosi przypuszczalnie 72 miliony lat; jeśli okres ten porównać z jedną dobą, to czas istnienia człowieka— najwyżej 300,000 lat, stanowi sześć minut, a okres, który można nazwać historycznym, czyli epoka integracyi ras, życia społecznego, tworzenia instytucyj, świadomego dążenia do celów — najwyżej 25,000 lat temu rozpoczęty — równa się tylko 30 sekundom „doby kosmicznej." Życie organiczne istnieje od 72 milionów lat; wielkie jego okresy, odpowiadające epokom geologicznym, trwały po 3 i po 6 milionów lat; w epoce obecnej warunki, temperatura itd. stały się najodpowiedniejszymi dla form życia najwyższych; niema najmniejszego powodu mniemać, że ten okres trwać będzie krócej, niż inne. Ward mówi, że ludzkość ma przed sobą jeszcze najmniej 4—5 milionów lat, podczas których warunki przyrodzone będą jak najprzychylniejsze dla jej istnienia i rozwoju. Zresztą ludzkość, dzięki swym środkom technicznym, będzie mogła swe istnienie przedłużyć do nieskończoności. Niewiadomo wprawdzie, czy kanały na Marsie są dziełem rąk „ludzkich," gdy się jednak zważy, że na Marsie, jako o wiele starszym od ziemi, istnienie istoty rozumnej w rodzaju człowieka mogło się rozpocząć o miliony lat wcześniej, to można twierdzić, że za kilka milionów lat człowiek na ziemi będzie zdolny do wykonywania dzieł podobnych.

Przychodzi tu na myśl piękna „utopia socyologiczna" Tarde'a, drukowana przed kilku laty w *Revue internat. de Sociologie*, o wspaniałem życiu, które ludzie pędzić będą we wnętrzu globu, gdy powierzchnia jego ochłodnie...

Tym razem Gabryel Tarde dał nam szkicową charakterystykę zapomnianego socyologa, Augustyna Cournot, któremu sam wiele zawdzięcza i którego stawia obok i niemal wyżej od Comte'a. Cournot, który żył od r. 1801 do 1877, a więc był rówieśnikiem Comte'a. choć go długo przeżył, ma z nim wiele cech wspólnych, chociaż rozwijał się całkiem od Comte'a niezależnie. Był tak samo matematykiem: zostawił nawet w tym zakresie kilka cenionych książek; objął tak samo w swym systemie całokształt wszystkich nauk; w dziedzinie społecznej był bezwzględnym wyznawcą determinizmu społecznego, co aż razi Tarde'a, przypisującego, jak wiadomo, dużo znaczenia „przypadkowi," pragnął na swój sposób pogodzić wiedzę z religią, itp. Od Comte'a jednak różnił się Cournot tem, że nie pomijał, lecz usiłował rozstrzygnąć zagadnienie *krytyczne*, teoryi poznania, i z drugiej strony tem, że żywo interesował się biegiem wypadków współczesnych i postępami nauk. Wreszcie zajmował się też ekonomią polityczną i *pierwszy* podał myśl zastosowania matematyki do badań ekonomicznych, dziś dość popularną. Dzieła Cournota jednakowoż (główne—obok wielu innych: „Traité des idées fondamentales" w r. 1861 i „Considerations sur la marche des idées et des événements dans les temps modernes." 1872) dla współczesnych przeszły niepostrzeżenie — choć wywołały wpływ na pisarzy wybitnych, jak Taine, Vacherot, no — i sam Tarde.

W dalszym ciągu rocznika R. Worms rozważa jedną z form walki społecznej, mianowicię walkę między ludźmi różnego wieku, różnych pokoleń, i jej rozmaite objawy; jest to zapewne ustęp z dalszych tomów wielkiego dzieła tego autora p. t. „La philosophie des sciences sociales," którego tom pierwszy właśnie się ukazał.

Włoski pisarz F. Squillace daje ciekawą próbę klasyfikacyi doktryn socyologicznych: na jakiej nauce niższej dana teorya socyologiczna się opiera i w jakim stopniu jest od niej niezależna? — oto kryteryum tej klasyfikacyi, wskazane już dawniej, choć nie rozwinięte, przez Baldwina, Rapparota i Groppalego. Otrzymujemy w ten sposób: Teorye, oparte: I) Na fizyce i przyrodoznawstwie: a) mechanice; b) etnografii i antropologii; c) geografii. II) Na biologii: a) przez analogię; b) przez „religię kosmiczną" (?). III) Na psychologii: a) indywidualnej; b) zbiorowej. IV) Na naukach społecznych: a) ekonomii politycznej; b) statystyce; c) prawie; d) polityce i etyce.

Wzmianka należy się p. Karolowi Limousin, który wciąż domaga się usilnie racyonalnej terminologii dla socyologii. Sam buduje terminologię, może racyonalną z punktu widzenia greczczyzny, ale która oczywiście nigdy się nie przyjmie: tak np. socyologia ma być przemianowana na *cenontozofię* (od koinos — wspólny i ont—istota) albo *cenantropozofię!* Niezależnie jednak od tych dziwactw można zwrócić uwagę na propozycyę, aby instytut socyologiczny mianował komisyę do ustalenia terminologii *).

Instytut socyologiczny odbył w pierwszych dniach lipca r. b. w Paryżu piąty swój kongres. Jak na porządku dziennym kongresu III-go stała teorya organizmu społecznego, kongresu IV-go — materyalizm historyczny, tak kongres ostatni zajmował się wyłącznie t. zw. „szkołą psychologiczną" w socyologii — mówię: tak zwaną, bo właściwie szkoła taka nie istnieje, tylko istnieją różnorodne dążenia do oparcia socyologii na badaniach psychologii jednostek lub mas, do uwydatniania roli i wpływu jednostek oryginalnych itp. Kwestye te są tak różnorodne i złożone, że zajęły całe siedem posiedzeń, odbytych w Sorbonie pod przewodnictwem L. Warda, który przyjechał z Ameryki, i Roberty'ego, i na żadne inne nie zostało czasu. Wypowiedziano mów lub odczytano referatów, które nadesłali nieobecni, razem dziewiętnaście; autorami ich są, między innymi: Tarde, Kowalewski, Worms, Karejew, Manouvrier, Espinas, Toennies, Mackenzie, Groppali. Tom X *Annales*, który wyjdzie na początku roku przyszłego, poda całą tę interesującą dyskusyę do wiadomości publicznej.

Kongres ten był niejako jubileuszowym: międzynarodowy instytut psychologiczny kończy w r. b. lat dziesięć swego istnienia. Założony został w r. 1893 z inicyatywy R. Wormsa, który też jest stałym sekretarzem generalnym instytutu; pierwszym prezesem był J. Lubbock, ponieważ H. Spencer, z zasady nienależący do żadnych stowarzyszeń ani akademij, od godności tej się uchylił. Działalność instytutu polegała na odbyciu pięciu kongresów i wydaniu dziewięciu tomów rocznika, przedewszystkiem zaś— na zrzeszeniu uczonych, pracujących w dziedzinie wszelkich nauk społecznych, należących do wszelkich narodowości, szkół i kierunków. W ciągu ostatniego roku np. obrani zostali członkami rzeczywistymi uczeni następujący. Emil Levasseur, Gustaw Schmoller, Ernest Grosse, znany badacz dziejów rodziny; znakomity statystyk włoski L. Bodio; filozof z Cardiff, John S. Mackenzie; profesor uniwersytetu w Budapeszcie, Foeldes, w Pradze czeskiej, Braf, obaj ekonomiści; wreszcie Emil Vandervelde, znany profesor Uniw. Nowego w Brukselli i poseł belgijski.

Podług statutu instytut może mieć najwyżej 100 członków rzeczywistych i 200 członków-stowarzyszonych (*associés*). W roku pierwszym liczba członków doszła coś czterdziestu, obecnie, po dziesięciu latach, prawie dosięgła *maximum*: 96. W tej liczbie liczymy: Niemców 13 (pomiędzy nimi Niemców austryackich 4), Włochów 12, Anglików i Rosyan po 11, Hiszpanów 10 (prócz tego 4 Amerykanów południowych, używających języka hiszpańskiego: Kubańczyk, Argentyńczyk, Wenezuelczyk, Chilijczyk), Francuzów i Belgijczyków po 9, Amerykanów północnych 6, Czechów i Węgrów po 2, wreszcie po jednym: Szwajcarze, Holendrze, Portugalczyku, Duńczyku,

*) Prócz powyższych rocznik zawiera jeszcze następujące prace: E. Levasseur: „Związki robotnicze we Francyi za II cesarstwa"; R. de la Grasserie: „Funkcya socyologiczna t. zw. prawa naturalnego" A. Groppali: „Zagadnienia powstawania prawa wobec wymagań krytyki nowożytnej"; K. Krauz: „Wpływy czynnika ekonomicznego na muzykę."

Finlandczyku (Szwed Westermarck), Czarnogórcu (znakomity Bogisicz). Polak również jeden: prof. Ludwik Gumplowicz. Członków drugiej kategoryi jest dopiero 44: Francuzów 16, Włochów 8, Polaków 5 *), Hiszpanów 3, Anglików, Amerykanów półn., Brazylijczyków, Węgrów, Rosyan — po 2, i po jednym Niemcu i Bulgarze. Sześciu członków zmarło. W przyszłości liczba członków-stowarzyszonych będzie musiała się pomnożyć; przez ten stopień będzie się dochodziło do wyboru na członka rzeczywistego w miarę wymierania tych ostatnich.

Wreszcie wspomnieć należy o poważnej fundacyi, którą od r. 1900 posiada z prawem zarządu międzynarodowy instytut socyologiczny. Członek-*associé*, książę W. Teniszew, komisarz generalny, rosyjski na ostatniej wystawie paryskiej, ufundował mianowicie konkurs na dzieło socyologiczne, oddając fundacyę w zupełności do rozporządzenia instytutu i zrzekając się sam wszelkiego wpływu na nią. Pierwszy konkurs ogłoszony został na studyum „o zamachach na porządek społeczny," ich przyczynach i środkach zapobiegania. Tom IX zawiera sprawozdanie sądu konkursowego, który otrzymał tylko trzy prace i nie uznał za możliwe nagrodzić — żadnej. Wobec tego instytut ogłasza nowy konkurs z terminem 31 grudnia 1905 r. Temat bardzo ciekawy: „Rewolucye" — zbadać naukowo przyczyny, przebieg, następstwa gwałtownych zmian ustroju społecznego, ewentualnie — wyprowadzić wnioski praktyczne. Prace muszą być pisane po francusku i przed oznaczonym terminem nadesłane do księgarni Giard et Brière, rue Soufflot 16, w Paryżu. Oczywiście, autorowie co do swego stanowiska przekonaniowego niczem nie są skrępowani; sąd konkursowy składają ludzie poważni i— miejmy nadzieję— bezstronni: Levasseur, Tarde, Espinas, R. Worms i historyk H. Monin.

Dr. K. Krauz.

NOTATKI NAUKOWE.

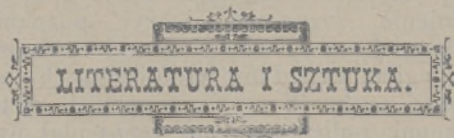
— *Dictionary of national biography* (Słownik biografii narodowej), olbrzymie przedsięwzięcie literackie w Anglii ukończone zostało. Składa się z 63 tomów, 3 dodatkowych i jednego tomu skorowidza. Obejmuje życiorysy wszystkich znakomitych mieszkańców Wielkiej Brytanii z koloniami — wyjąwszy tych, którzy jeszcze żyją. Pierwszy tom ukazał się w styczniu 1885 r., ostatni w czerwcu 1900 r.; tomy dodatkowe wydano w 1901 r. Skorowidz, którego układ przedstawiał niemałe trudności, wyszedł w roku bieżącym. „Biografia narodowa" zawiera 30,500 stron druku i 31,000 artykułów napisanych przez specyalistów z uwzględnieniem wszelkich najnowszych poszukiwań. W tem olbrzymiem wydawnictwie 700 blizko współpracowników wzięło udział. Kierował niem do 21 tomu Leslie Stephen, znany autor „Dziejów myśli angielskiej," następnie do 26 tomu pomagał mu Sidney Lee, który od 27 t. sam już dzieło do końca doprowadził. Obu tym uczonym zawdzięcza Słownik dużo artykułów znakomitych. Wydawania Słownika podjął się i przeprowadził je własnym kosztem niedawno zmarły (1901 r.) słynny księgarz londyński, Jerzy Smith, człowiek śmiały, wykształcony i niezmiernie energiczny, któremu Anglia zawdzięcza takie wydawnictwa, jakie gdzieindziej tylko kosztem akademij wychodzą.

— Arthur Bauer: *Les classes sociales*. Paris, 1902. Giard et Brière.

Praca ta, stanowiąca tom „Bibljotoki socyologicznej międzynarodowej," zaszczycona została nagrodą Akademii nauk moralno-politycznych, choć — jak bywa zwykle z dziełami nagrodzonemi — nie wnosi do nauki nic nowego i nie stoi nawet na wyżynie nowoczesnych badań w zakresie socyologii. Autor nie postawił sobie za cel — jak z tytułu można by wnosić — zbadania klas społecznych, określenia ich znaczenia, warunków bytu, rozwoju itp., a jedynie wykazanie, że przedmiotem socyologii nie może być badanie zjawisk społecznych, lecz jedynie klas społecznych. Poświęciwszy sporo miejsca definicyi, co należy uważać za zjawiska społeczne, jego różnice z pojęciami matematycznemi, metafizycznemi i koncepcyami celowości itp., dochodzi do wniosku, że jest ono nieuchwytne, nie daje się obserwować bezpośrednio i badać za pomocą metody doświadczalnej; a stąd socyologia, jako nauka, może się opierać jedynie na badaniu klas społecznych, dających się ściśle określić odpowiednio do natury zajęcia. Każda klasa ma swój odrębny charakter, swe cechy ogólne i podlega pewnym prawom psychologicznym, stąd też zadaniem socyologii winno być zbadanie każdej poszczególnej klasy, jako też wzajemnego ich stosunku.

Wystarczającem chyba jest to streszczenie, aby dać poznać całą dowolność tkwiącą w założeniu autora, który zdaje się nie pojmować, że po za życiem każdego organu jest życie ogólne całego społeczeństwa. Są zjawiska, których żadną miarą zlokalizować nie można w żadnej grupie społecznej, a które właśnie należą do najważniejszych, jak: moralność, religia, różne idee wspólne itp. Ażeby nie być zmuszonym wykluczyć ich z socyologii, autor ucieka się do następującej koncepcyi: wyobraża sobie, że każda kategorya tych zjawisk miała początek w pewnej klasie społecznej, np. religia była właściwością kapłanów, a następnie wskutek stosunków pomiędzy tą klasą a innemi wierzenia religijne zaczęły się rozpowszechniać w całem społeczeństwie. Jakkolwiek socyologia jest jeszcze mało rozwiniętą nauką, to jednak może ona już twierdzić z całą pewnością, że dowodzeniom autora zadają kłam niezliczone fakta społeczne, a powszechnie wiadomo, że duchowieństwo jako klasa społeczna było zjawiskiem dość późnem w ewolucyi religijnej.

Z.


LITERATURA I SZTUKA.

ODGŁOSY.

Aleksandra Suszczyńska: *Mefisto*. Warszawa, St. Sadowski, 1903. — Ludwik Stasiak: *Pieniądz*. Księgarnia Polska, Lwów, 1902.

Tak się kobiet nie uwodzi...

Tak właśnie przy pomocy zapachu kwiatów, zachodów słońca, pogody, jeżeli tak można powiedzieć, sprzyjającej i... „namiętnych" wierszy Tetmajera. Nie, stanowczo w ten sposób nie „uwodzi się" kobiet: tak uwodzi się... gąski. Wprawdzie uwiedziona Zosia z powieści p. Suszczyńskiej niedawno ukończyła pensyę i wierzy w to jeszcze, że ulubionym jej poematem jest... „Faust," wprawdzie nie pozbyła się jeszcze wielu cech pensyonarskich, ale już zaczyna się zastanawiać, ale już dręczą ją pytania, a myśl, jak ptak niespokojny, krąży nad morzem nierozwiązanych zagadnień, i błądzi, i szuka przystani. Chwila jeszcze, a zdumionym oczom ukażą się niezmierzone przestworza, błysną dalekie widnokręgi myślowe, olśnią, zatrwożą i w pensyonarce zbudzi się kobieta.

Czekałem tego silnego drgnienia duszy, które dziecko w świadomego przemienia człowieka, tych wszystkich walk ze sobą i dręczących wahań, tych wzruszeń wielkich, a świeżych, jak młodość, uporu instynktownego, który mimo wszystko i wbrew wszystkiemu, nakazuje płynąć przeciw prądowi, czekałem długiego boju z samym sobą i ze światem całym. Niestety, zjawił się *on* (pierwszy gorszy z brzegu) i rozwiał moje złudzenia. Ten *on*, taki niezdarnie, powieściowo podły mężczyzna uwiódł pannę Zosię, jak niemądrą gąskę. Eh, „uwiódł" — to bardzo dystyngowane wyrażenia, przetłomaczę je na język prawdy i powiem wprost: popełnił z wyrachowaniem zbrodnię, a potem, jak rutynowany rzezimieszek uciekł od swojej ofiary i zostawił ją samą... a raczej nie samą, gdyż pozostała z nią hańba. Taka „hańba" milionom mężczyzn nie przeszkadza najspokojniej trawić, ba! pomaga im nawet przystrajać swe wytarte czoła wieńcem laurowym, splecionym z liści, uszczkniętych na drzewie wiadomości złego i podłego, taka „hańba" — to przecież często szeroki rozgłos i sława mężczyzny, więc... Nie, nie w kontrastach tkwi tragedya uwiedzionej panny...

Miłość wydała swój owoc i panna Zosia została matką. A więc co robić? Umrzeć ze strachu przed katorgą konwenansów i oficyalnym biczem pogardy cnotliwego świata, zabić siebie i dziecko, które jeszcze nie żyje, ale już ma swoje własne prawo do życia, czy też wznieść się ponad dystyngowaną opinię, być silnym nieszczęściem, rozumnym, krzywdą i cierpieć z zaciśniętemi zębami, a hardo podniesioną głową?

I nie to jeszcze... Pytania te, jak gdyby nie istniały dla uwiedzionej. Bunt jej trwa krótko i... brak mu szczerości. Rozumiem, gdy Zosia woła: „Ja nie chcę umierać!", rozumiem, gdy z piersi jej dobywa się okrzyk pełen grozy i siły: „Żyć! żyć!", ale gdy powiada do przyjaciółki: „On ciało moje ubóstwiał" — to myślę o tem z niesmakiem i przestaję rozumieć. Bo to jest kłamstwo!.. W taki sposób, choćby tylko przez litość nad sobą, nie mogą się zwierzać uwiedzione dziewczyny...

Bunt trwa krótko, bo panna Zosia, jak gdyby skamieniała z bólu. Myśl jej, biegnąca niedawno wysoko, zamknęła się w sobie, znieruchomiała, zwiędła, jak ledwo rozkwitły kwiat, zwarzony śmiertelnem tchnieniem mrozu i zastygła w cierpieniu. Siły wyczerpała pierwsza lekcya życia, marzenia rozwiały się, uleciały, jak wiatr, i okropna rzeczywistość, jak złowrogie widmo, zajrzała w oczy nieszczęśliwej dziewczynie, odebrała jej moc panowania nad sobą i świat cały przesłoniła. Upiorne wizye ścigać zaczęły Zosię. Jako wizya zjawia się nareszcie „Mefisto" (oto do czego potrzebny był „Faust"!), zjawia się, jeżeli dobrze zrozumiałem, jako odwieczny symbol podłości męzkiej, mianuje się bratem „uwodziciela" i elegancko, poprawnie, zupełnie „correct" flirtuje z uwiedzioną. W tych majaczeniach gorączkowych drga ból i sączą się łzy, jest dużo odczutej prawdy, ale niema w nich odpowiedzi na pytania, które powinna była rozwiązać bohaterka tej smutnej tragedyi. Tak jest, powinna, gdyż są powieści, w których założenie wymaga wyraźnego zakończenia, a taką właśnie powieścią jest „Mefisto" p. Suszczyńskiej.

Niema zakończenia „Mefisto," dwa zakończenia ma „Pieniądz."

„...Trzeba być jakimś zaślepionym fanatykiem, żeby nie uznać, nie widzieć degeneracyi ludzkości, spowodowanej kultem pieniędzy. Gdzie tylko oczy zwrócę, widzę, że złoty cielec jest zgniłczym zarazkiem, który rozkłada zdrowe ciało ludzkie.... Dziś nie żeni się człowiek z człowiekiem, nie serce zakochane z sercem. Dziś żeni się kasa z kasą, worek z workiem, majątek z majątkiem lub nędza z nędzą..." A co temu winno? Pieniądz, przeklęty pieniądz! Tak mówi nędzarz Dora i woła: pieniędzy,

*) Balicki, M. Goldberg, Makarewicz, Winiarski i niżej podpisany.

pieniędzy! Bo Jan Dora jest zdolnym muzykiem, a nie ma za co sprowadzić swojego instrumentu, nie może „swej duszy wypowiedzieć klawiszami fortepianu, zadziwić ludzi płaczem pieśni, zrodzonej w łzach.“ Więc... pieniędzy! pieniędzy!..

Ten głos rozpaczny usłyszał autor i zlitował się nad swoim bohaterem. „Bezpośrednio po przejściu pociągu osobowego z Krynicy“ kazał mu wyjść na tor kolejowy i znaleźć portfel, zawierający z górą sto tysięcy guldenów. Nędzarz zawahał się, co zrobić... z portfelem, który mógłby stać się przysłowiową nitką, prowadzącą do kłębka. Tak, co zrobić z portfelem? — oto pytanie!.. Pieniądze później sprawią kłopot, tymczasem główną sprawą jest zatarcie śladów... Główną?! A przeklęte pieniądze, ten „zgnilczy zarazek, rozkładający zdrowe ciało ludzkie?“ Jakto? więc Jan Dora zaraz w pierwszej chwili myśli o zatarciu śladów?!. Nie, to jest straszne kłamstwo, lub też „zdolny muzyk“ ma nietylko zdolności muzyczne.

Jan Dora, mówiąc językiem literackim, przywłaszczył sobie pieniędze i — na podobieństwo bohatera „Zbrodni i kary“ — ścigany trwogą, miotany burzą niepokoju, dręczony w końcu wyrzutami sumienia, umarł po kilku miesiącach. Roztrwonił tylko tysiąc, reszta została w fortepianie. To pierwsze zakończenie. Jest i drugie, chociaż doskonale mogłoby się bez niego obyć.

„...Kamień spadł mi z serca, gdym usłyszał wywody pańskie, że Dora pod względem prawnym zeszedł z tego świata czystym...“

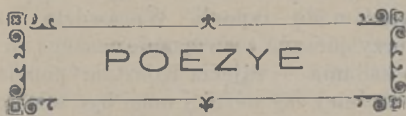
„Poszedł przed tron Boży niewinny“ — odpowiada agent policyjny.

Tak, *pod względem prawnym* Dora zeszedł z tego świata *czysty*, a kamienie z serca spadają bardzo łatwo, lecz miejmy nadzieję, że przed tronem Bożym nie agenci policyjni ferują wyroki o niewinności ludzkiej.

Niewiele mam już do powiedzenia o bohaterze powieści p. Stasiaka. Jan Dora był umysłem płytkim. Zastanawia się i widzi krzywdy, jakie dookoła szerzy pieniądz, a jednocześnie, jak sztubak wymyśla na socyalizm i przyznaje, że „sprawy socyalne i ekonomiczne nic go nie obchodzą.“ Po za tem Jan Dora umiejętnie spisywał swoje wrażenia, miał nawet zdolności pisarskie, wreszcie umarł i.... „poszedł przed tron Boży niewinny!..“

O ironio, ironio!..

Artur Śliwiński.



SAMOTNE DUSZE.

Dostęp do naszych smutnych dusz pokoi
Niechaj nam będzie na wieki wzbroniony!
Nie próbuj próżno wiotkiemi ramiony
Zaryglowanych wyważać podwoi...

Pomiędzy nami mur z kryształu stoi
W misterne wzory koronek rzeźbiony,
Blasków słonecznych graniem roztęczony
I opleciony tętami powoi.

Czemu porywasz się nań nadaremnie,
Niesytych tęsknot zbudzając katusze,
Zwiększając jeszcze mękę samotności?..

— Z tego, co myślą o sobie wzajemnie,
Wybudowały mur ten — nasze dusze —
I to jest cały czar naszej miłości...

Zofia Nałkowska.



Uprzemysłowienie Szwajcaryi.

(Dokończenie).

Ważną również pozycyę w szwajcarskim wywozie stanowią obecnie tkaniny i wstążki jedwabne. Pewna niechęć stosowania się do wymogów mody — stanowiąca zresztą cechę i angielskiego przemysłu fabrycznego — groziła mu już w latach osiemdziesiątych, lecz współzawodnictwo krajów nadreńskich dodało wkrótce bodźca do nowych wzlotów. Maszyna dość późno, bo dopiero w latach sześćdziesiątych rozgościła się tutaj, a następnie rozeszła w żwawem nader tempie. W r. 1885 było w przemyśle jedwabniczym maszyn tkackich 3,150, w roku 1900 już 13,325! Głównym odbiorcą szwajcarskiego jedwabiu w motkach są Niemcy, tkanin jedwabnych teraz Anglia, pierwej Francya i Stany Zjednoczone. Wartość wywozu dosięga obecnie pokaźnej sumy 210 milionów fr., od której, w ocenie znaczenia przemysłu jedwabniczego dla gospodarki narodowej Szwajcaryi, odjąć należy 150 milionów fr., płaconych zagranicy za materyał surowy.

Przemysł słomkowy w stopniu wyższym jeszcze, niż jedwabniczy, zmuszał Szwajcarów do ustawicznego wyczuwania wahań mody, do ciągłej pogoni za rynkami, których kaprysy, w lot nieodgadnięte, grożą kryzysem i klęską. Kolebką jego i głównem siedliskiem wielkich fabryk jest kanton Aargau; przy żywszym zaś popycie doliny Szwajcaryi środkowej dostarczają mu licznych rąk chałupniczych. Wywóz wyrobów słomkowych w ostatnich latach ma stale tendencyę zwyżkową i za rok 1900 wynosił 12 mil. fr.

Oprócz wyliczonych dotychczas gałęzi pracy, które się rozwinęły z przemysłu domowego, spotykamy w Szwajcaryi jeszcze cały szereg innych, bez przeszłości i bez tradycyi, istne dzieci ery kapitalistycznej, przynoszące swym świetnym rozwojem istotną chlubę rodzicom. Potrzeby przędzalnictwa popchnęły w czasie wojen napoleońskich i odcięcia dowozu z Anglii do urządzania przy warsztatach przędzalniczych skromnych oddziałów maszynowych, które przeistoczyły się z czasem w fabryki maszyn, oparte na *sprowadzanem* żelazie, *sprowadzanym* węglu, ale *swojskiej* pracowitości. Tę też gałąź przemysłu, dla której Szwajcarya przy swem bogactwie sił wodnych posiada przyrodzone warunki rozwoju, stworzyła dopiero nauka ostatniej doby — elektrotechnika. Fabrykacya maszyn dynamo-elektrycznych, akumulatorów, elektrycznych motorów, pługów itd., a przedewszystkiem zakładanie centralnych stacyj elektrycznych otwarło nietylko dla kapitału i pracy nowe pole działania, ale inwestycyami swemi poparło również swojski przemysł żelazisto-maszynowy Szwajcaryi *).

Mimo braku żelaza i węgla, tych dwóch warunków kardynalnych przemysłu fabrycznego, Szwajcarya obecnie intensywnością swego uprzemysłowienia ustępuje już tylko Anglii, która wskutek bogactwa minerałów tak uprzywilejowane zajęła stanowisko. Na 1,000 mieszkańców trudni się przemysłem:

w Wielkiej Brytanii	537	mieszkańców
w Szwajcaryi	407	„
w Belgii	382	„
w Niemczech	374	„
we Francyi	279	„

*) Emil Hofman: „Die Schweiz als Industriestaat.“ Zürich, 1902.

O tempie zaś uprzemysłowienia świadczą najlepiej dane, tyczące się liczby robotników, zatrudnionych w przedsiebiorstwach fabrycznych, oraz motorów mechanicznych: w r. 1882 było zatrudnionych 134,862 robotników, a siła rob. równała się sile 59,505 koni parowych; w 1901 r. pierwszych było 216,998, a druga równała się sile 320,432 koni par.

Ekonomia sił gospodarczych, objawiająca się w skupianiu wysiłków na zajęcia najwięcej popłatne i najlepiej krajowym warunkom odpowiadające — ta myśl przewodnia w historyi wytwórczości szwajcarskiej sprawiła, że zniżenie cen zboża, wywołane konkurencyą krajów o taniej produkcyi zbożowej, pociągnęło za sobą ucieczkę z rolnictwa. Mimo wzrostu ludności *), ilość, pracujących na roli, spadła w ostatniem dziesięcioleciu z 548,271 na 483,033. Zboże w kraju wyprodukowane starczyło w latach sześćdziesiątych na pokrycie zapotrzebowania 260 dni, w latach osiemdziesiątych na 157 dni, z końcem zaś lat dziewięćdziesiątych pokrywa już tylko spożycie 70 dni na rok!

Podczas ostatniego dziesięciolecia $^2/_3$ przywiezionych do Szwajcaryi towarów — to surowce i środki spożywcze, przeszło $^2/_3$ wywozu szwajcarskiego — to fabrykaty. I tak wedle bilansu z r. 1900 wynosił:

Wywóz:

Środki żywności	103.112	tys.	fr.	=	12.39%
Materyał surowy	89,073	„	„	„	10,65 „
Fabrykaty	643,895	„	„	„	77,01 „
Razem	836,080	„	„		

Przywóz:

Środki żywności	301,420	„	„	„	27,13 „
Materyał surowy	448.334	„	„	„	40,35 „
Fabrykaty	361,356	„	„	„	32,52 „
Razem	1,111,110	„	„		

Na wywożone środki żywności składają się przeważnie przeróbki, sery, mleko kondensowane, czekolada, mączka dla dzieci itd. *Praca* sprzedawana zagranicy pokrywa niedobory krajowe, to też choć połowa przestrzeni Szwajcaryi, ze względu na swe położenie nad poziomem morza, jest nieprzydatną dla rolnictwa, choć czwartą część tego kraiku zajmują skały, lodowce, rzeki, jeziora i inne nieużytki gospodarcze, Szwajcarya pod względem spożycia ustępuje tylko najbogatszym krajom świata — Wielkiej Brytanii, Stanom Zjednoczonym i Francyi. Jako samodzielny organizm ekonomiczny pozbawiona dostatecznej ilości środków żywności i surowców skazaną była na nędzę, a jako członek całości obejmującej cały świat ucywilizowany, cieszy się dobrobytem. Płaci za to ogromną zależnością od zagranicy, od polityki handlowej krajów blizkich i dalszych, ale własna jej ruchliwość oraz mnogość nawiązywanych stosunków czynią zależność tę mniej krępującą. Tracąc rynki państw sąsiednich, zdobywa oddalone, wyparta protekcyonizmem z kontynentu, ucieka za ocean, pokonana chwilowo, zwycięża wkrótce współzawodnika udoskonaleniem wyrobu, nowym wkładem kapitału i przedsiębiorczości.

Wojna celna z Francyą z lat 1892—1893 wykazała, jak skutecznie Szwajcarya nawet w walce z potężnym przeciwnikiem stanąć może na straży swych interesów gospodarczych. Zmniejszenie wywozu do Francyi, wywołane podniesieniem ceł ochronnych, wyrównane zostało natychmiastowo prawie powiększeniem wywozu do innych krajów, zmniejszony wywóz z Francyi pokrytym zaś został wzmnożeniem produkcyi krajowej i przywozem z innych krajów. Cukier francuski i butelkowe wino francuskie wyparte zostały zupełnie prawie z rynków, aż w końcu Méline, „wiedziony zdrowym rozsądkiem, choć bez zapału,“ zgodził się na zniżenie cła od francuskich haftów i je-

*) Według ostatniego spisu ludność Szwajcaryi wynosi 3,100,012.

dwabiów, dwóch najważniejszych przedmiotów eksportu szwajcarskiego do Francyi.

Mimo korzystnych dla Szwajcaryi traktatów handlowych zawartych w 1892 z Włochami, Niemcami i Austryą, które zawierały ustępstwa celne dla wyrobów szwajcarskich, ostatni okres rozwoju protekcyonizmu na kontynencie europejskim wywarł już wpływ stanowczy na ukształtowanie się stosunków handlowych Szwajcaryi. W r. 1885 prawie 60% wywozu szwajcarskiego szło do krajów ościennych, w 1900 już tylko 48% — równocześnie zaś zbyt do Anglii wzrosł z 15% do 25%, do Ameryki mimo podniesienia ceł w Stanach Zjednoczonych z 10% na 14%.

Organizować zbyt do odległych krajów, rozpowszechniać wieści o swych produktach przemysłowych mogą Szwajcarzy dzięki temu, że wytworzyli odpowiednie stowarzyszenia przemysło-handlowe, które łączą się między sobą ściśle i spajają z instytucyami państwowemi. *) Główną organizacyą handlową Szwajcaryi jest t. zw. „Schweizerische Handelskammer;“ w skład jej wchodzą organizacye napółurzędowe, wytworzone przez rady niektórych kantonów (Appenzeln, Glarusu, Luzerny itd.) towarzystwa przemysłowe i handlowe, wytworzone przez kupców i przemysłowców różnych miejscowości.

Świat handlowy Szwajcaryi uwzględnia też należycie potrzebę reklamy handlowej. W Szafuzie np. wychodzi pismo w języku portugalskim *Observator Sud - Americano*, w Bazylei *La Industria Suisa*, w języku hiszpańskim. Oba te pisma rozsyłane są w znacznej ilości egzemplarzy i mają na celu reklamować produkty przemysłowe na półwyspie Pi-renejskim, a w szczególności w południowej Ameryce.

Pod względem wymiany z zagranicą zajmuje Szwajcarya pierwsze miejsce w Europie. Przywóz i wywóz wynosi w przecięciu 590 fr. na głowę — w Anglii nie więcej, jak 470 fr. w Niemczech 220 fr. itp. itp. Wwóz szwajcarski wzrasta przytem w tempie o wiele szybszem od wywozu: od r. 1885 do 1900 wzrósł z 681 mil. do 1,111 mil. fr. podczas gdy równoczesny wywóz podniósł się z 641 mil. tylko na 836 mil. fr. Nadwyżka wwozu nad wywozem, niedobór handlowego bilansu, wyniosła w ostatnich 15 latach $3\frac{1}{2}$ miliarda fr., pokrytych częścią z haraczu opłacanego Szwajcaryi przez cudzoziemców — turystów, z dochodu przedsiebiorstw szwajcarskich za granicą — głównie w Voralbergu i w północnych Włoszech, z procentów od wypożyczanych za granicą kapitałów, transytu i zysków towarzystw szwajcarskich ubezpieczeniowych, mających swe filie po całej Europie.

H. G.

*) Wł. Studnicki: „Rozwój form politycznych i stosunki ekonomiczne Szwajcaryi.“ Lwów, 1900.

Odszkodowanie robotników.

Prawit. Wiest. ogłosił w nr. 175 przepisy, dotyczące odszkodowań, wypłacanych robotnikom lub ich rodzinom za nieszczęśliwe wypadki przy pracy:

Za utratę zdolności do pracy na dłużej, niż na trzy dni, właściciel obowiązany jest wypłacać wsparcie od dnia wypadku po dzień przywrócenia zdolności do pracy lub stwierdzenia niezdolności zupełnej w wysokości połowy rzeczywistego zarobku robotnika.

W razie utraty zdolności do pracy robotnikowi należy się od właściciela pensya równająca się $\frac{2}{3}$ rocznego zarobku poszkodowanego; gdyby jednak niezdolność była tylko częściowa — w rozmiarach zależnych od jej stopnia. Właściciel przedsiebiorstwa tylko wtedy może być uwolniony od odpowiedzialności pieniężnej, jeśli udowodni, że wypadek był następstwem rozmyślnej lub nadzwyczajnej nieostrożności robotnika. Jeśli poszkodowanym jest dziecko lub wyrostek, pensya jego w miarę wzrastania w lata podnosi się w stosunku odpowiadającym średniemu jego zarobkowi.

Właściciel obowiązany jest również do zwrotu kosztów leczenia, jeśli ono nie było bezpłatne, według norm szpitalnych, a w razie śmierci poszkodowanego — do wypłaty na pogrzeb dorosłego 30 rb., wyrostka 15 rb. Członkom rodziny zmarłego wypłaca pensye w stosunku do jego zarobku: wdowie — $\frac{1}{3}$ dozgonnie, sierotom do lat 15 po $\frac{1}{6}$ każdemu, przy życiu jednego z rodziców, $\frac{1}{4}$ zupełnym sierotom, braciom i siostrom do lat 15 po $\frac{1}{6}$, jeśli byli utrzymywani przez zmarłego.

W razie śmierci obojga rodziców z powodu wypadku przy pracy dzieci ich lub wychowańcy adoptowani pobierają pensyę, odpowiadającą zarobkom rodziców. Ta pensya jednak nie może przewyższać $\frac{2}{3}$ zarobków zmarłych. Pensya wdowy przy powtórnem jej wyjściu za mąż zamienia się na jednorazowe wsparcie, równe pensyi trzyletniej. Za zgodą wspólną pensye mogą być zamienione na wsparcia jednorazowe, obliczone w odpowiednim stosunku.

O wypadku podlegającym przepisom należy zawiadomić policyę oraz inspektora fabrycznego lub inżyniera okręgu.

Policya, przybywszy niezwłocznie na miejsce, winna spisać protokół i zbadać świadków.

O wypadkach nieszczęśliwych przedsiebiorca obowiązany jest prowadzić specyalną książkę i zapisywać w niej uskutecznione wypłaty wynagrodzenia.

Poszkodowani mogą porozumiewać się z właścicielem co do postaci i wysokości wynagrodzenia i, w razie zgody, spisać umowę, którą inspektor fabryczny potwierdza, jeśli ona jest zgodną z przepisami. Jeżeli porozumienie nie dojdzie do skutku, to spisuje się akt urzędowy, podający datę zgłoszenia się stron, miejsce, okoliczności i następstwa wypadku.

Małoletnim, niemającym rodziców lub opiekunów, naczelnik, sędzia miejski lub sędzia pokoju, a w Królestwie sędzia gminny naznacza opiekuna.

W razie zamknięcia przedsiebiorstwa właściciel winien zabezpieczyć dalszą wypłatę wynagrodzeń. Co ciąży również na jego spadkobiercach.

W razie upadku lub przymusowej likwidacyi przedsiebiorstwa właściciel obowiązany jest zawiadomić o ciążących na nim zobowiązaniach tej kategoryi.

PRASA POLSKA.

Co się dzieje! „Pachołkiem pruskim,“ wyraźnie „pachołkiem pruskim“ odważyła się nazwać *Gazeta Polska* kardynała krakowskiego, ks. Puzynę, który zakazał duchowieństwu dać ślub posłowi śląskiemu, Korfantemu, i jakoby dogadzając rządowi niemieckiemu, wniósł na konklawe protest przeciw wyborowi Rampolli na papieża. Chociażby nawet książe Puzyna oprócz tych czynów zgwałcił wszystkie przykazania i popełnił wszystkie grzechy główne w najwyższej potędze, jeszcze wtedy bylibyśmy zdumieni, gdyby jakiś publicysta warszawski wypuścił przeciw niemu parę z ust swoich. A tu mianowano go „pachołkiem pruskim!“ Mówiono nam (bo sami go nie widujemy), że najstarszy grat prasy naszej zatrząsł się zgrozą na artykuły w *Prawdzie* o papieżu. Jakże on cudowną ma teraz sposobność nastawienia swego zardzewiałego moździerzyka przeciw *Gazecie Polskiej*, która go głównie wparła do lamusa między niepotrzebne sprzęty! Trzeba spróbować! A nuż ta boleść oderwie od niej kilku abonentów i pomnoży nimi trzodkę starej pasterki...

— *Tygodnik Ilustrowany*, który, nawiasem mówiąc, cofnął się już do epoki Ungrowskiej w dewocyi i który przedstawił portret Bogu ducha winnej siostry nowego papieża oraz jego dawnego mieszkania, zamieścił „tryptyk dekoracyjny“ A. Piotrowskiego pod tytułem „Z życia ludu.“ W pierwszym obrazku stoi dziewczyna z kwiatkiem, w drugim siedzi inna, ładniejsza kobieta na kolanach mężczyzny, w trzecim jeszcze inna — wieńczy niemowlę. Co to ma znaczyć? Czy że jednej przysięgał, drugą poślubił, a trzecią obdarzył dzieckiem? Czy też może oporny pędzel odmówił artyście posłuszeństwa w powtarzaniu tego samego typu? Byłaby to podwójna szkoda, gdyż naprzód mielibyśmy dowód niemocy, a powtóre upostaciowanie wypadku, który zachodzi nietylko w „życiu ludu.“

PRASA ROSYJSKA.

— P. Suworin w jednym z ostatnich numerów *Now. Wrem.* wypowiada następujące słowa:

„W chwili obecnej rozpowszechniają w Europie tyle kłamstw i bzdurstw o Rosyi, z taką pewnością mówią, że Rosya stała się słabą, że przeżywa ciężki okres. Kwestya robotnicza, wywołana przez niebywały rozwój przemysłu w ciągu niewielu lat, wystąpiła na pierwszy plan, jako zwiastun zaburzeń. Lecz czyż prawdą jest, że te strejki są w rzeczy samej zaburzeniami? Dlaczego na Zachodzie zjawiska te nie są poczytywane za znamiona przewrotu? Dlatego, że przemysł rozwijał się tam celowo i harmonijnie, jednocześnie z rozwojem oświaty i prawodawstwa. Młodsza siostra Europy, Rosya, w ciągu pół wieku zaledwie tyle zdziałała, poruszyła tyle kwestyj, zapoczątkowała taką przeróbkę swego życia, że potrzeba czasu do prawodawczego i życiowego rozstrzygnięcia tego wszystkiego. Prawodawstwo powinno iść za życiem, nie zaś zapóźniać się, a sprawa będzie się rozwijała bardziej prawidłowo. Jeżeli trwożliwość jednych, gorączka rewolucyjna i lekkomyślność drugich, głupota i łatwowierność innych, pozwalają mniemać zarówno w Rosyi, jak i w Europie, że Rosya znajduje się w okresie upadku, to nie dowodzi to jeszcze niczego. Rosya była bezwarunkowo słabszą w tych czasach, gdy dokonywała wielkich czynów i była uważana za silną. Jest ona silną i obecnie, jest silną przez swą świadomość narodową, której przed półwiekiem wcale nie było. Od losu ani od przeznaczenia uciec niepodobna. Rosya ma swe tradycye historyczne, z których wypływa jej historyczne zadanie.“

„Naszem zdaniem — piszą *Petersb. Wied.* — wypadki w Macedonii schodzą stanowczo na plan drugi w porównaniu z wyzywającem zachowaniem się Japonii. Wprawdzie mogłyby one przyspieszyć rozwiązanie naszego odwiecznego zadania — zajęcia Konstantynopola, który wcześniej czy później musi być miastem rosyjskiem, ale cel ten z rąk nam nie umknie, o ile dyplomacya rosyjska nie popełni jakiego kapitalnego błędu w przyszłości. Daleko ważniejszy jest pożar, który usiłują rozniecić Japończycy na naszym Dalekim Wschodzie. Walcząc w imię odrodzenia rasy żółtej, a więc za swoje własne istnienie, Japończycy wystąpią niewątpliwie ze zdwojoną energią, a nawet z całem rozpaczliwem napięciem wszystkich swych sił żywotnych, które nietylko w dwójnasób, lecz w dziesięćkroć potęguje te siły. Byłoby wielkim błędem lekceważyć ten ruch historyczny. Japonia, mała sama przez się, nabiera niespodzianie wielkiego znaczenia w roli tego mikroba, który ma zaszczepić w nieprzedsiebiorcze dotąd Chiny zarazę namiętności politycznych i instynkt zniszczenia. Dopóki pożar w zarodku, stłumić go łatwo i uczynić to należy, choćby dla tego celu trzeba było olbrzymią stopą zmiażdżyć młode, buńczuczne państewko.“

KRONIKA.

Filharmonia warszawska w Berlinie. Dnia 1 października będzie odsłonięty pomnik Ryszarda Wagnera, najszczęśliwszego kompozytora pod słońcem, dla którego oper zbudowano osobny teatr, który połowę życia przeszedł, drogą usłaną różami, który po śmierci jest ubóstwiany nawet przez tych, co jego muzyki nic nie rozumieją lub na niej rozpaczliwie ziewają. Z powodu tej uroczystości zwołano do Berlina międzynarodowy kongres muzyczny dla „zjednoczenia w słowie i dźwięku spraw, interesów i wyrazu różnolitych prądów, przenikających nowoczesną sztukę tonów.“ Jak dalece to zadanie będzie spełnione i czy od 1 października w „sztuce tonów“ zapanuje „zjednoczenie“ — zobaczymy. Tymczasem obchodzi nas udział w tym kongresie i w złączonych z nim koncertach orkiestry Filharmonii warszawskiej. Po tylu chłostach, opluciach, zniewagach i znęcaniach się, jakich Polacy dotąd doświadczają od Prusaków, chęć i odwaga wprowadzenia orkiestry polskiej na uroczystość pruską, do stolicy, gdzie wyrabiane są narzędzia polskiej niedoli, chociażby pod wezwaniem nieśmiertelnego Ryszarda i niebiańskiej sztuki, taka chęć i odwaga mogły powstać tylko w tych duszach, które wyrzucone za drzwi, bez wstydu i urazy włażą oknami. To też kilka pism warszawskich wezwało do porządku p. A. Rajchmana, przywódcę wyprawy. P. Rajchman, wszakże odpowiedział, że spełni czyn wysoce patryotyczny, gdyż przedstawi międzynarodowości kompozytorów polskich, a między innemi wezmie pod skrzydła swej protekcyi Chopina. Ażeby nas zaś całkowicie olśnić spodziewanym zaszczytem, doniósł telegraficznie za pośrednictwem *Kur. Warsz.*, że orkiestra Filharmonii została z wielu wybrana do najgłówniejszego występu. Pomimo całej wspaniałości tego splendoru i spodziewanych korzyści dla muzyków polskich, radzimy osobom, które mają wpływ na kierownictwo Filharmonii, ażeby jej orkiestrę wycofały z uroczystości berlińskich.

J. B.

Z kongresu rabinów. W Krakowie odbył się kongres rabinów z różnych krajów, z którego należy wyróżnić dwa momenty. Pierwszym była zgodna przysięga uczestników, że nigdy nie używano krwi ludzkiej do celów religijnych, a drugim z kilku stron wyrażone żądanie, ażeby wszystkich współwierców, wykraczających przeciw prawom państwowym, wyłączano z gmin żydowskich. Ze szczególną energią domagali się tego rabini: Wolf Margulies z Grodna i Rabinowicz z Połtawy, Chachum zaś z Aleksandryi wnosił, ażeby przestępców politycznych oskarżono przed władzą. Żadnej jednak uchwały nie powzięto i przekazano wniosek osobnej komisyi.

Dziwne zachcianki. Że cudzoziemcy a zwłaszcza Francuzi podejmują ustawicznie starania o zawarcie konwencyi literackiej z Rosyą — to rozumiemy, bo wtedy chociaż niewielkie, ale pewne grosze kapałyby z przekładów do ich kieszeni. Jaki wszakże powód i cel mają publicyści polscy do upomnienia się o taki układ, a przynajmniej do wykazywania jego „rzeczywistej potrzeby“ — tego nigdy pojąć nie mogliśmy. Nie jest to chyba rzeczą przypadku, że jako organ tych życzeń występuje stale *Kuryer Warszawski*. Dawny jego redaktor, zmarły W. Szymanowski, przez wiele lat jeździł na kongresy literackie i głosował za międzynarodowem obwarowaniem praw autorskich. Teraz znowu z podobną myślą wystąpił w *Kuryerze* prof. A. Białecki. Pociesza on nas, że „samodzielne i oryginalne prace pisarzów rosyjskich i polskich zajęły już poważne stanowisko w dobytku wiedzy europejskiej,“ że przeto nietylko my zagranicy płacić będziemy za prawo tłomaczeń, ale i nam zagranica. Już *Gazeta Polska* zwróciła uwagę p. B., że nie powinien był zestawiać ogromnego rynku księgarstwa rosyjskiego z małym naszym. Podczas gdy tam wydawcy mogą liczyć na rozprzedaż setek tysięcy egzemplarzy, u nas rzadko wychodzą po za setki. Ale zarówno tam, jak u nas, liczba pisarzów tłomaczonych za granicą jest bardzo mała i nie może nigdy stanowić przeciwwagi obcym. Zacieśniając zaś sprawę do naszego gruntu, powtórzymy, cośmy wielokrotnie wykazywali, że konwencya, która zmuszałaby do płacenia autorom cudzoziemskim za prawo przekładu ich dzieł, zabiłaby przedewszystkiem naszą wątłą i ubogą literaturę naukową. Ale co to ich obchodzi, gdzie w tym egoizmie jest idealna sprawiedliwość? — pytają ciągle zwolennicy murów. Odpowiedź prosta: idealna sprawiedliwość może nakazywać społeczeństwom wzajemne opłaty za korzystanie z cudzych produkcyj literackich, jeżeli one pracują w jednakowych lub przybliżonych warunkach. Siły, środki i pola naukowe Francyi i Niemiec są bardzo podobne, między niemi też konwencya jest słuszną; ale jakież podobieństwo zachodzi między tymi krajami a Królestwem Polskiem? Czyż nasz nakładca może zapłacić wydawcy dzieł Darwina 10,000 rubli (tyle żądał) za same klisze? A jeżeli nie może, to niech Polacy nie znają darmo teoryi Darwina? To się nazywa idealna sprawiedliwość?

J. B.

Wiadomości społeczne. Do *Kur. Warsz.* donoszą z gub. Liflandzkiej, że społeczeństwo łotewskie rozbiło się na dwie partye: konserwatystów, stronników pastorów i postępowców. Pierwsi popierają pastorów Niemców, drudzy domagają się wybierania pastorów z pośród Łotyszów. Dowodzą oni, że pastorowie Niemcy nietylko, że wstrzymują, a przynajmniej chcą wstrzymać wszelki postęp, lecz nadto pragną, aby lud wrócił do dawnej niewoli. *Petersburgas Awises* przytacza kazanie, miane przez pastora-Niemca w jednej z parafij: Duszpasterz zaleca cofnąć się do dobrych, starych czasów, kiedy chłopi kornie chylili głowy przed baronami i wysoko cenili wszystko, co niemieckie. Za dążenie do oświaty pastor nazwał parafian „synami marnotrawnymi.“ Następnie karcił ich za używanie między sobą tytułu „pan.“ Tytuł „pan,“ według niemieckiego cywilizatora, należy się tylko baronom i Niemcom, nie zaś dawnym świniopasom, Łotyszom.“

— Starania o utworzenie w Warszawie obywatelskiego komitetu pomocy powodzianom nie uzyskały przychylnej decyzyi władz tutejszych, a to z powodu utworzenia gubernialnych i powiatowych takichże komitetów w różnych okolicach kraju, nawiedzonych przez powódź. (*Kur. Codz.*).

— Z Petersburga donoszą, że ministeryum spraw wewnętrznych zamierza ustanowić sądy rzemieślnicze, którym podlegać mają sprawy o naruszenie przepisów narodowych.

— Zatwierdzoną została ustawa kasy pogrzebowej w Radomiu.

— Właściciele piekarni w Ekaterynosławiu, powołując się na zmowę piekarzy i robotników, podwyższyli w trójnasób cenę chleba. Władza jednak pociągnęła ich do odpowiedzialności sądowej, gdyż sprawdzono, że bezrobocia nie było, tylko właściciele urządzili między sobą zmowę.

— Od 30 sierpnia do 8 września r. b. otworzona będzie wystawa ludoznawcza w Cieszynie.

— Departament celny zawiadomił zarządy pogranicze, że kara za przetrzymywanie pasportu ma być obliczoną od dnia wyjazdu za granicę.

— Ministeryum spraw wewnętrznych zwróciło uwagę na to, iż Żydzi często składają deklaracyę o zamiarze przyjęcia chrześciaństwa nie ze względu na potrzeby religijne, lecz jedynie w celu uzyskania praw zamieszkania po za obrębem zakazu. W celu uniemożliwienia im obejścia w ten sposób istniejących ograniczeń, nakazano wszystkim władzom duchownym, aby w obrębie zakazu nie przyjmowano Żydów do chrztu, jeśli nie złożą zaświadczenia miejscowej policyi o prawie zamieszkiwania w danej miejscowości.

Z Poznańskiego. W *Gaz. Polskiej* czytamy: „Biskup w Paderbornie, dr. Wilhelm Schneider, kazał przedstawić wszystkim klerykom narodowości polskiej do podpisania zobowiązanie, w którem klerycy oświadczają, że „są najzupełniej wolni od wszelkich skłonności ku sprawom polskim,“ że „nie czują się w obowiązku brać jakiegokolwiek udziału w agitacyi polskiej,“ i że „agitacya ta nie da się pogodzić z powołaniem duchownem.“ Jak pisze w *Kuryerze Poznańskim* ks. dr. Liss, musiał on zatrzymać przemocą kleryków, wszyscy bowiem oświadczyli, że seminaryum opuszczą i zobowiązania nie podpiszą. Biskup zgodził się na niepodpisanie i zadowolił przyrzeczeniem ustnem, iż młodzi kapłani nie będą się mieszali do agitacyi wśród Polaków, osiadłych w Westfalii.“

— W procesie wytoczonym 14 Polakom o zaburzenie uliczne w Zabrzu, zapadł wyrok, skazujący 8 z nich na 8-tygodniowe więzienie, resztę uwolniono.

Wiadomości naukowe. Krakowska Akademia Umiejętności ogłasza, że konkurs im. Niemcewicza na napisanie „Monografii z dziejów cywilizacyi polskiej w epoce Odrodzenia,“ przedłużony zostaje do 21 grudnia r. b. Równocześnie ogłoszony został nowy konkurs na temat: „Monografia znakomitetej osobistości z czasów Stanisława Augusta.“ Nagroda wynosi 6,000 fr., podzielona jednakże może być na kilka mniejszych, w razie gdyby żadna z prac nadesłanych nie okazała się doskonałą (po 4,000 i 2,000 fr., 2 po 2,000 fr. i 2 po 1,000 fr.).

— Z Mildu wyruszył do bieguna północnego okręt „Fritjof“ pod dowództwem marynarza Gildena, z załogą złożoną z 23 ludzi, przeznaczoną do poszukiwania wyprawy Nordenskjölda. Powrót spodziewany jest na kwiecień 1904 r.

Szkoły i wychowanie. D. 15 września r. b. otworzone zostaną w Lublinie kursa handlowe, wieczorne dla mężczyzn. Przyjmowani będą kandydaci ze świadectwami dwóch klas szkoły miejskiej lub po zdaniu odpowiedniego egzaminu. Opłata za cały kurs 50 rb.

— Z Petersburga donoszą, że do tamtejszego Instytutu komunikacyj przyjętych będzie w r. b. tylko 100 nowych słuchaczów.

— W Akademii sztuk pięknych w Petersburgu do studyów na wydziale budowlanym, w roku bieżącym przyjmowane będą kobiety ze świadectwami z ukończenia pierwszego kursu wydziału fizyczno-matematycznego wyższych kursów żeńskich.

— Ogłoszono wyrok sądu dyscyplinarno-profesorskiego, utworzonego dla osądzenia sprawy pogwałcenia przez studentów uniwersytetu warszawskiego przepisów uniwersyteckich w d. 13 marca r. b. Na mocy wyroku sądu zrobiono 136 studentom wymówkę, niepociągającą za sobą ograniczenia w korzystaniu z praw i przywilejów. Udzielono nagany 34 studentom i surową naganę 4 osobom także bez ograniczeń praw. Uwolniono od oskarżenia 72 studentów. Z wydziału farmaceutycznego, po porozumieniu się rektora z inspektorem studentów, zrobiono wymówkę 14 farmaceutom bez ograniczenia praw i uwolniono od oskarżenia 5 osób.

— Cesarz austryacki zatwierdził upaństwowienie gimnazyum polskiego w Cieszynie.

— Młodzieży, pragnącej zapisać się na uniwersytet, politechnikę lub do innego wyższego zakładu naukowego we Lwowie, udziela wszelkich wyjaśnień co do wykładów, warunków wpisu i wogóle kształcenia się komisya informacyjna Czytelni Akademickiej we Lwowie (Pasaż Mikolosa).

— Ministeryum oświaty wydało przepisy urządzenia muzeów pedagogicznych dla wykształcenia początkowego. Celem muzeów ma być zaznajamianie wszystkich interesujących się oświatą ludową z obecnym jej stanem i rozpowszechnianie pojęć o najlepszej jej organizacyi. Prawo urządzania muzeów mają zakłady naukowe, instytucye publiczne, towarzystwa naukowe i osoby prywatne. Pozwolenia udziela kurator okręgu naukowego. Nadzór nad muzeami należy do dyrektorów szkół ludowych.

— Kurator warszawskiego okręgu naukowego zauważywszy obniżenie znajomości języka rosyjskiego u uczniów średnich zakładów naukowych, że 20,8% dopuszczonych do egzaminów ostatecznych złożyło niezadawalające wypracowanie z języka rosyjskiego, a pomimo to prawie wszyscy otrzymali świadectwa dojrzałości; że największą pobłażliwość w tym względzie okazały rady pedagogiczne gimnazyów: łódzkiego, łom-

żyńskiego, lubelskiego, radomskiego, praskiego i szkoły realnej warszawskiej, gdzie uczniowie w większości wypadków wykazali nizki poziom umiejętności, a prócz tego w klasach wyższych niedostateczne władanie mową rosyjską — wydał rozporządzenie aby na przyszłość w celu usunięcia tych braków egzaminy odbywały się ściśle według przepisów, bez jakiejkolwiekbądź szkodliwej pobłażliwości. W wyjątkowych tylko razach dozwolone jest odstępstwo od zasady, lecz motywa jego winny być przedstawione kuratoromi do uwzględnienia.

Literatura i prasa. Od 1 października wychodzić będzie w Poznaniu pismo polskie p. t. *Przemysłowiec*, pod redakcyą p. Idziego Świtały.

— Wydawnictwo gazety *Ural* wstrzymano na cztery miesiące.

Sprawy ekonomiczne. W r. 1902 w warszawskim okręgu pocztowo-telegroficznym były czynne 293 kasy oszczędności, do których 125,735 uczestników wniosło 2,059,347 rb.

— Oddział ekonomii i statystyki rolniczej przy ministeryum rolnictwa i dóbr państwa zajął się zestawieniem kolekcyi farb trwałych na potrzeby tkackiego, drobnego przemysłu włościańskiego do farbowania wełny i tkanin wełnianych. Farby te mają być rozpowszechniane wśród ludności za pośrednictwem ziemstw, towarzystw rolniczych i innych podobnych instytucyj.

— Bankowi państwa nadano prawo otwierania ziemianom kredytu pod zastaw zboża, oddawanego na przechowanie pożyczającemu, przyczem Bank wydawać może pożyczki bądź bezpośrednio, bądź za pośrednictwem innych instytucyj kredytowych. Pierwszy krok w tym kierunku zrobiło Towarzystwo wzajemnego kredytu w Łowiczu, któremu oddział warszawski Banku państwa otworzył kredyt specyalny do wysokości 50,000 rb., na wydawanie rolnikom pożyczki pod zastaw zboża, na tychże warunkach, na jakich je wydaje Bank państwa, czyli przy stopie 6%, przyczem na pośrednictwo Tow. wzajemnego kredytu otrzymywać będzie od Banku pewną prowizyę. (*Gaz Polska.*).

Koleje i komunikacye. Wyszło rozporządzenie, aby chorzy, zamierzający udać się koleją do miejsca leczenia, a wymagający bądź odosobnienia od innych pasażerów, bądź szczególnych udogodnień w podróży, odpowiadających rodzajowi choroby, zawczasu składali na stacyi właściwe świadectwa lekarskie, w których lekarze powinni wymienić chorobę i zrobić uwagę co do izolacyi i sposobów zapobieżenia przeniesieniu zarazy. Bez takich świadectw chorzy będą musieli odbywać podróż w pociągu w warunkach zwykłych, a nawet pozbawieni będą ulg taryfowych, przyznanych chorym umysłowo i pokąsanym przez zwierzęta wściekłe.

Klęski żywiołowe. W Wolbromiu spaliła się prawie cała ulica, złożona z kilkunastu domów; we wsi Wólka Ostrożewska, pow. Garwoliński, zgorzało około 180 domów mieszkalnych i budynków gospodarskich; taki sam los dotknął osadę Okuniew, w pow. Nowomińskim, gdzie pożar zniszczył plon, mozolną zebrany pracą, w 28 stodołach, a nadto 5 domów mieszkalnych; w dwóch ostatnich wypadkach przyczyną pożaru były dzieci, pozostawione w domu bez opieki.

— W drugiej połowie lipca w Królestwie Polskiem było 237 wypadków pożarów, w których spaliło się 368 budynków, wartujących 121,000 rb.

Katastrofy. W Borysławiu, w Galicyi, po raz trzeci w kopalniach nafty wybuchł pożar. Spalił się jeden człowiek, a dwaj inni zostali ciężko poparzeni.

— W Alikancie było silne trzęsienie ziemi.

Zmarli. Dr. Michał Koczyński, profesor prawa w uniwersytecie krakowskim.

— Hans Gude, artysta-malarz, w Berlinie.

— Dr. Dieterici, docent uniwersytetu berlińskiego.

— Monetti Garibaldi, włoski działacz polityczny, syn sławnego Józefa.

OFIARY.

Na powodzian: zebrane przez p. Helenę Podhorską rb. 35; W. N. z gub. Kijowskiej rb. 25; zebrane w Sieprawkach, gub. Lubelska rb. 15; J. I. B. z Kr. rb. 10; L. Mańkowski z Muchanowa rb. 10; Zygmunt Szempliński z Ojcowa rb. 1.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 14 Августа 1903 г.

Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.